

31.12.2025-1.01.2026

NR 302 (18393)



Sport



Prowadź Królu!

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Z DRUGIEJ STRONY

Paweł
Czado

Poniewczasie

Lata 90. były wspaniałe. Tamta wolna, postpeerełowska, amerykańska właściwie we wszystkich dziedzinach życia odcisnęła na naszym społeczeństwie niezatarte piętno. Można powiedzieć, że miała wpływ na charakter i usposobienie Polaków, że wszystkimi tego konsekwencjami, sprawiała, że ludzi stawiali się tacy, a nie inni. Uczyła pomysłowości, przekory, cwaniactwa – w dobrym i w złym tego słowa znaczeniu...

Odcisnęła też piętno na naszym futbolu. Wprawdzie dopiero o następnej dekadzie mówiło się, że w trakcie jej trwania korupcja futbolowa stała się zjawiskiem na skalę przemysłową, dwadzieścia lat temu namówił Piotra Dziurawicza żeby o tym opowiedział, ale jednak sznyt lat 90. był pod tym względem niepowtarzalny, rzekłbym nawet - niepodrabialny.

Korupcja futbolowa była jak jad wnikaący w tkaniki, bo nie chodziło przecież jedynie o ustawione mecze. Piłkarze – w swej masie - nie musieli się starać, nie musieli się rozwijać. Wiadomo, że byli lepsi i gorsi, wiadomo, że lepsi z gorszymi wygrywali, ale co w momencie gdy spotykali się lepsi z lepszymi, albo gorsi z gorszymi? Często mieli świadomość nieczystej gry, a skoro tak – po co się przesadnie starać, po co wypruwać sobie żyły... A jak trzeba było, to i gorsi z lepszymi wygrali... Trudno się dziwić, że potem w Europie nieprzesadnie dobrze nam szło...

Jak to w życiu: byli bardziej pokrzywdzeni i mniej, byli bardziej korzystający i mniej – tak to chyba trzeba ująć. Czasami kończyło się to rozstrzygnięciami, o których mówiła cała Polska, nie tylko futbolowa. W 1993 roku po zdumiewającej ostatniej kolejce cudów, kiedy Legia i ŁKS ścigały się, kto wyżej wygra, a Ryszard Kulesza grzmiął, że „cała Polska to widziała” - zdecydowano się anulować wyniki. W efekcie pierwszej na mecie Legii odebrano tytuł (czekała na niego od 1970, miał być jej piątym), nie przyznano go także drugiemu ŁKS-owi.

Zwolennicy Legii mieli poczucie krzywdy, mają je zresztą do dziś. Naprawdę poważnie rozpatrywano oddanie Legii tytułu mistrzowskiego za sezon 1992/93 - jeszcze po wielu latach. Na tyle poważnie, że w 2007 sprawa trafiła nawet pod obrady walnego zjazdu PZPN. Sprawę przywrócenia stołecznej drużynie tytułu mistrzowskiego za rok 1993 zajmowała się od 2004 roku specjalna komisja! Nie znalazła ona jednak podstaw do zmiany decyzji. Jej wniosek o nieoddawanie Legii tytułu poparto 85 delegatów, 28 wstrzymało się od głosu, a 11 było przeciw.

Dlaczego o tym piszę? Canal+ zrealizował właśnie serial „Niedziela cudów”. Wojciech Kowalczyk, były piłkarz warszawskiej Legii opowiada w nim o tym, jak w przerwie kluczowego meczu z Górnikiem Zabrze w następnym sezonie 1993/94, przy prowadzeniu gości z Zabrze 1:0, wkroczył do szatni działacz PZPN Wit Żelazko i miał stwierdzić: „Spokojnie, macie tytuł mistrzowski. PZPN odda wam to, co zabrał rok temu. Stwierdzono, że wysłał nam sędziego, który tym meczem kończył karierę. Stawomir Redziński pokazał zabranom trzy czerwone kartki. Legia zdołała wyrównać i w efekcie zdobyć mistrzostwo...

Szkoda, że te słowa Kowalczyka padają ponieważ. Szanowałbym piłkarza, gdyby wypowiedział je publicznie już w 1994 roku. Teraz to już tylko „michatki”, które niczego nie zmieniają. Odbieranie i przyznawanie tytułów po latach uważam za absurd, takich decyzji nigdy nie podejmowałoby się, mając pełną wiedzę. Zauważyłem przy tym jednocześnie, że nigdy nie powstała żadna komisja w sprawie oddania tytułu z 1994 roku Górnikiem Zabrze...

Latarnia sprawiedliwości

Sześć dekad temu przedstawiciele pięciu krajowych związków piłkarzy z Holandii, Anglii, Francji, Włoch i Szkocji spotkali się w Paryżu z zamiarem utworzenia międzynarodowego stowarzyszenia piłkarzy, które będzie bronić zawodników i wspierać ich prawa.

Obecnie FIFPRO (nazwa pochodzi od skrótu Federation Internationale des Associations de Footballeurs Professionnels), której członkiem jest także Polski Związek Piłkarzy, reprezentuje już ponad 70 000 zawodników z ponad 70 organizacji na całym świecie. Założona 15 grudnia 1965 roku w stolicy Francji Międzynarodowa Federacja Piłkarzy Zawodowych ma



Holendrzy byli wśród założycieli FIFPRO. Polski związek zawodowy futbolistów dołączył do tej organizacji stosunkowo niedawno.

swoją siedzibę od 1 lutego 2005 roku w Hoofddorp w Holandii. Świętowanie jubileuszu miało miejsce podczas Zgromadzenia Ogólnego FIFPRO pod koniec roku w Lizbonie.

Trzydniowe wydarzenie w stolicy Portugalii było okazją do wymiany poglądów i pomysłów, dostosowania się do globalnych priorytetów i do omówienia strategii wspiera-

nia zawodników. - Pierwsze, co musimy zrobić, to uhonorować tych, którzy 60 lat temu mieli wizję, siłę i przekonanie, aby stworzyć globalną organizację. Uważali, że każ-

dy piłkarz zasługuje na sprawiedliwe traktowanie w swoim miejscu pracy – mówił podczas jubileuszowego zgromadzenia prezydent Sergio Marchi. - Dziś FIFPRO nie jest już tylko globalnym związkiem, lecz latarnią sprawiedliwości w piłce nożnej. Nadal zachowuje te same wartości, które zainspirowały jej powstanie, zapewniające piłkarzom godne i bezpieczne warunki pracy oraz wsparcie po zakończeniu kariery. Nie wyobrażam sobie futbolu bez związku zawodowego, ponieważ byłby to sport pozbawiony ludzkiego wymiaru. Wkraczamy w nową erę zaangażowani w kształtowanie rozwoju piłki nożnej przez następne 60 lat i dłużej - dodał. **(ZG)**

Z Infantino ciężko się rozmawia

Rozmowa z **Euzebiuszem Smolarkiem**, urodzonym i mieszkającym w Holandii byłym reprezentacyjnym napastnikiem, prezesem Polskiego Związku Piłkarzy

Trzydniowe spotkanie w Lizbonie miało nadany program?

- To było świętowanie 60-letniej historii przy jednoczesnym spojrzeniu w przyszłość. Nasze poprzednie spotkanie na Bali było... bardziej męczące. Teraz kompleksowy program sesji plenarnych, warsztatów i spotkań „dywizyjnych” nie był tak napięty, co nie oznacza, że było mniej pracy.

Na czym polegały wasze zajęcia?

- Spotykaliśmy się, omawiając strategię działania na kolejne miesiące. Rozmawialiśmy o sytuacjach związków w poszczególnych krajach. Dowiadywaliśmy się, co robią, jak możemy pomóc. Wydawać by się mogło, że w Europie mamy wszystko fajnie ułożone, tymczasem przykład Turcji mówi, że nie do końca tak jest – mam na myśli korupcję, aresztowania prezesów klubów, strajki zawodników... Radziliśmy, jak reagować od strony prawnej, gdy kluby ogłaszają upadłość, albo nie płacą zawodnikom. Te problemy dotyczą zwłaszcza

niższych lig. Do klubów wchodzi prokuratura, banki, a na końcu jest piłkarz zostający już z niczym. Piłkarz, który uczciwie zarabiał - dla siebie i dla klubu.

W Polsce mamy często do czynienia z identycznymi przebiegami...

- Wtedy my wchodzimy do akcji i staramy się prawnie pomóc zawodnikom. Pomagamy złożyć wnioski do Piłkarskiego Sądu Polubownego. Kontaktujemy się też z PZPN i przedstawiamy w ich imieniu jakich zmian oczekują, co trzeba poprawić lub zmienić w przepisach. Tu postawimy kropkę. Nie lubię i nie mogę mówić o tym, z czym zgłaszają się do nas piłkarze. Bardzo zależy mi, by coraz więcej zawodników wiedziało, gdzie mogą zgłosić się ze swoimi problemami. Zależy mi, żeby wiedzieli, że mamy prawników, którzy mogą im pomóc.

Wasz głos, FIFPRO, jest słyszalny na tle fortun budowanych przez FIFA i UEFA?

- Rozmawialiśmy, jak możemy bronić się

przed tym, co wymyślają FIFA i UEFA, chociażby w kwestii przeładowanego kalendarza. Nasz głos jest słyszalny, ale z takim człowiekiem jak Gianni Infantino ciężko się rozmawia. Decydują stacje telewizyjne, reklamodawcy, biznes - słowem ogromne pieniądze, a dopiero na szarym końcu są piłkarze. Nie odpuszczamy, ale czy nam się coś uda ugrać? Czy nasz głos przebieje się przez FIFA, UEFA? Nie wiem...

Jak przyjął pan wyniki losowania grup mistrzostw świata i fakt, że możemy zagrać na mundialu z Holandią?

- Oby tak było! Rozumiem nastroje w Polsce, że to przyjemne, gdybyśmy znów zagrali z Holandią. Ale trzeba zdać sobie jednocześnie sprawę, że nie będzie łatwo, a wręcz szalenie trudno. Trzeba się już koncentrować na barażach, gdzie mamy naprawdę niełatwych rywali. Nie zapominajmy, że w dzisiejszej piłce nie ma faworytów. Wszystko jest możliwe, a co dopiero, gdy gra toczyć się będzie o tak wielką stawkę jak



Euzebiusz Smolarek ściska Jana Urbana i... kciuki za polski team w barażach mundialowych.

awans na mistrzostwa świata.

Ale Holendrzy nie narzekali na fortunę? Cieszyli się, że mogą znów trafić na Polskę?

- Cieszyliby się jeszcze bardziej, gdyby było już pewne, że w grupie jest także Polska, czyli przeciwnik, którego doskonale znają. Natomiast o pozostałych dwóch rywalach dopiero zaczynają się dowiadywać, bo wcześniej nie było takiej potrzeby, by interesować się Japonią czy Tunezją. To na pewno są ciekawi przeciwnicy, choć z perspektywy Holandii jednak dość egzotyczni rywale.

Holandia liczy na medal? „Pomarańczowi” mają takie aspiracje?

- Holendrzy są tak ambitną nacją, że chcą medalu zawsze. Myślą, a nawet są pewni, że mają zawodników gotowych unieść czy spełnić ich marzenia. Natomiast ja uważam, że czegoś im jednak brakuje. Naturalnie zawodników mają znakomitych. Mają świetną drużynę, z tym nie będziemy dyskutować, ale moim zdaniem to nie jest jednak tak silna ekipa, jak kiedyś. Myślę, że eliminacje z Polakami potwierdziły moje spostrzeżenia nie rozwiewając wątpliwości, czy to jest reprezentacja na medal. Nie mówiąc już o wygraniu mistrzostw świata.

Rozmawiał
Zbigniew Cieńciała



Właściwy człowiek na właściwym miejscu! Jan Urban na królewskim tronie!

Królewska przygoda na grzbiecie wielbłąda

Jan Urban opowiedział nam o świąteczno-noworocznych realiach w słonecznej Hiszpanii, czyli jego „drugiej ojczyźnie”. Podróż w czasie i przestrzeni przyniosła niezwykle wspomnienie.

Rzut oka na pogodową mapę Hiszpanii w świątecznym czasie? 14 stopni w Barcelonie, jeszcze ciut więcej – w Sewilli. A w Pampelunie, w której niejedyn z Czytelników chciałby być może spędzić końcówkę roku – coś koło zera... I możliwość wystąpienia deszczu, a nawet deszczu ze śniegiem.

- Akurat w tym rejonie Hiszpanii, na jej północy, pogoda nie jest specjalnie odmienna od tej, jaką zimą miewamy w Polsce – Jan Urban bez zdziwienia przyjmuje te prognozy. Od paru dekad dzieli swe życie między „dwie ojczyzny” i dwa domy. Ten pierwszy – w stolicy Małopolski. Drugi – w stolicy hiszpańskiej Nawarry. - Ze względu na bliskość Pirenejów, w okolicy Pampeluny opady śniegu zdarzają się dość często. Co prawda zazwyczaj po paru dniach topnieje, ale białe święta nie są tu niczym niezwykłym. Zresztą to właśnie w Hiszpanii nauczyłem się jeździć na nartach! - wyznał nam selekcjoner Białło-czerwonych, który w tym roku – wzorem wielu wcześniejszych lat – na końcówkę roku wybrał się na Półwysep Iberyjski.

Żurek, barszczyk i prosiaczki

Świąteczne zwyczaje w Hiszpanii niespecjalnie różnią się od tych polskich. Przede wszystkim tym, że większy jest wybór potraw; dochodzą dania mięsne, w polskiej tradycji nieobecne na wigilijnym stole. - U nas w zasadzie mieszamy obie tradycje. Są polskie dania – żurek i barszczyk dowieziony z kraju, uszka, kluski z makiem. Do tego różnego rodzaju ryby. Bez karpia, bo w Hiszpanii go nie jedzą; tu dominują ryby morskie oczywiście.

A wybór jest niesamowity, łącznie z wszelkiego rodzaju owocami morza – opowiadał nam selekcjoner. Jeśli jednak ktoś ma ochotę na mięso, nie stanowi to żadnego problemu. - Miejscowym specjałem są małutkie prosiaczki, pieczone w całości – przypomina Jan Urban. Potrawa nazywa się „cochinillo”, a historia jego przyrządzania (nie tylko na święta) sięga w Hiszpanii XVII wieku, a może i głębiej w przeszłość.

Jaka jest rola selekcjonera w przygotowaniu menu? Na to pytanie Urban wybucha śmiechem. - Nie mam szczególnych zadań w kuchni – odpowiada w końcu. - Jestem tym, który dba, aby niczego w niej nie zabrakło. „Jedź po to czy tamto do sklepu” – oto moja „kuchenna” rola – precyzuje.

Smak bez ściemy

Drobna dygresja... – U selekcjonera widać duże prześiąknięcie kuchnią hiszpańską – powiedział ostatnio serwisowi „Łączy nas piłka” reprezentacyjny kucharz, Tomasz Leśniak. Nie zdradził ulubionej potrawy trenera, ale jego spostrzeżenia są bardzo ciekawe. - Najważniejsza jest jakość produktu i wydobycie z niego maksimum smaku. Jeśli mamy dobrą wołowinę na steka, potrzebujemy dobrej soli morskiej. Stek musi być odpowiednio zrobiony, nieprześciągnięty, krwisty, odpoczęty. To samo z rybą. Dobra jakość, odpowiednia obróbka, sól, grillowane warzywa i nic więcej nie potrzeba. Im prostsze, tym lepsze. Po prostu: bez ściemy – ocenił Leśniak.

W wigilijny czas selekcjoner do domowej kuchni zagląda rzadko. Za to w całości na jego barkach spoczywa dbałość o świąteczne – szeroko rozumia-



Orszak Trzech Króli największą frajdę sprawia dzieciom.

ne – ciepło. - To ja muszę zadbać o drewno do kominika, żeby atmosfera była ciepła i świąteczna. I jeszcze o przygotowanie ozdób na choinkę oraz przystrojenie domu, również na zewnątrz – dopowiada. No i ma swój udział w tym, aby pod świątecznym drzewkiem nie zabrakło prezentów – ale do tego tematu jeszcze wrócimy.

Sylwester w karnawałowym stylu

Pampeluna – nawet na tle całej prowincji Navarra – ma własną specyfikę. To właśnie tu w lipcu odbywa się słynne „Encierro”, czyli gonitwa byków uliczkami starego miasta. Wyjątko-

wy jest też Sylwester. - Tu przypomina on karnawał. Tego dnia mieszkańcy wychodzą z domów, przebijani w różne stroje karnawałowe – tłumaczy Jan Urban. Siegając pamięcią wstecz, wspomina własne „przebieranki”. - Byłem i piratem, i – z twarzą posmarowaną pastą – czarnoskórym z Afryki. Ludzie w różnych przedziwnych strojach spotykają się na rynku, na starym mieście; przez całą noc otwarte są wszystkie lokale – opisuje pampeluński klimat selekcjoner Białło-czerwonych.

Na grzbiecie wielbłąda

Najwięcej emocji wśród mieszkańców Pampeluny wzbudza jednak Święto Trzech Króli. Orszaki to

tradycyjny sposób przypomnienia biblijnej opowieści o wizycie trzech monarchów (mędrców) w betlejemskiej grocie. - Monarchowie, w zależności od regionu, pojawiają się w różny sposób. W portowych miastach przybywają łodziami, gdzie indziej... przylatują helikopterem – przywołuje hiszpańskie zwyczaje Jan Urban. W Pampelunie orszak jest bardzo uroczysty, gromadzi na ulicach dziesiątki tysięcy mieszkańców i turystów, i jest szeroko relacjonowany w mediach. - A możliwość wcielenia się w któregoś z trzech króli jest wielkim zaszczytem i wyróżnieniem – opowiada Jan Urban. Warto więc „napocić się” przez kilkanaście godzin – dosłownie, bo przygotowania do roli zaczynają się o ósmej rano, a świętowanie połączone z zamówionymi wizytami w domach, kończy się... późną nocą – by wpisać się w grono tych, którzy owego zaszczytu dostąpili.

Spoglądamy na miejscowe portale i gazety sprzed dekady. „Dzieci z Pampeluny po raz kolejny z radością przywitały Mędrców Wschodu, którzy przybyli do stolicy Nawarry przy romańskim moście Magdalena (...). Ale wielu rodziców, zwłaszcza będących kibicami Osasuny, było mocno zaskoczonych, gdy uświadomili sobie wielkie podobieństwo króla Gaspara (Kacpra – dop. aut.) z trenerem drużyny. Spójrzcie na zdjęcie i osądźcie sami” - czytamy m.in. w serwisie „Noticias de Navarra” ze stycznia 2015. Przyglądamy się fotkom uważnie. Hm...

Jan Urban, który na przełomie 2014 i 2015 roku był szkoleniowcem Osasuny, występującej w LaLiga 2, rozwiewa nasze wątpli-

wości. - Owszem, miałem wówczas przyjemność pełnić rolę jednego z trzech monarchów. Podróżowałem przez miasto na wielbłądzie – po raz pierwszy w życiu zresztą, w przebraniu, w królewskich szatach! – potwierdza. I wyjaśnia tajemniczość medialnego wpisu. - Dorośli zazwyczaj wiedzą, kto się wciela w poszczególne role; ale dzieciom, które mają największą frajdę, się tego nie zdradza. Swoją drogą dzieci – podobnie jak w wigilijny wieczór – w Święto Trzech Króli też otrzymują prezenty – zaznacza nasz rozmówca.

Piękne słowo „awans”

W ten sposób – zgodnie z obietnicą – wracamy na koniec do tematu świątecznych podarków. U Urbanów spod choinki wyciąga je – i rozdaje obdarowanym – Teo, wnuk selekcjonera. On sam w minione święta miał tylko jedno prezentowe życzenie, wyrażone wcześniej w liście do Świętego Mikołaja. - Oczywiście chciałbym z drużyną awansować na mundial! - mówi nam z uśmiechem trener Białło-czerwonych.

Historia w ten sposób zatacza koło. Kiedy Jan Urban w szatach Gaspara w styczniu 2015 podróżował ulicami Pampeluny, w mediach społecznościowych wielu fanów Osasuny dzieliło się swymi nadziejami i oczekiwaniami. „Zamierzam poprosić go o awans do pierwszej ligi, myślę, że może coś z tym zrobić” – napisał wtedy, z emotką mrugnięcia okiem, jeden z nich (@BotasSinGato). Bo przecież my dziś też prosimy selekcjonera o awans. I myślimy, że będzie w stanie coś z tym naszym życzeniem zrobić!

**Zbigniew Ciećciała,
Dariusz Leśniakowski**

Quickstep, bachata, moonwalk - jak oni tańczą!

Taniec to... nieodłączna część futbolu! Zdziwieni? Popatrzcie na boiskowe cieszynki. Jednak piłkarze nie stronią również od wychodzenia na klasyczny parkiet.

Podziwiacie dziś sposób celebrowania goli przez wielkie gwiazdy światowego futbolu? Zwłaszcza Brazylijczycy, których przecież na murawach pełno w każdym zakątku świata, wprowadzili do piłkarskiego widowiska ogień żywcem przeniesiony z ulicznych parad Rio de Janeiro. Dekady temu naturalny żywioł gorącej brazylijskiej krwi Garrincha przenosił na „taniec” czysto futbolowy – z rywalami, których dzięki tanecznemu balansowi z piłką zostawiał bezradnych za sobą. Dziś publiczność na trybunach i przed telewizorami czeka nie tylko na sportowe popisy Viniciusa Juniora, ale i na jego cieszynki, które zdążyły się już stać znakiem rozpoznawczym gracza Realu, a za chwilę być może staną się jego zastrzeżonym „znakiem firmowym”. Warto natomiast przypomnieć, że jednym z prekursorów fetowania goli efektownymi układami choreograficznymi – przynajmniej na mundialach – był legendarny Roger Milla, zachwycający publikę podczas mundialu 1990 we Włoszech swymi tańcami.

Lajkonik i krakowiaczek

W taneczną sztukę celebracji również i Polacy mają swój wkład. Nieżyjący już Piotr Rocki w zestaw wielu różnych nowatorskich pomysłów wprowadził także taniec. I to – po pierwsze – zgodny z polską tradycją, po drugie – angażujący spore grono kolegów z wodziśławskiej Odry, po trzecie wreszcie – wykorzystujący dodatkowe akcesoria. Pamiętacie mecz z krakowską Wisłą, w którym gol dla gospodarzy uświetniony został ognistym krakowiaczem, z głową drewnianego konia, mającego imitować Lajkonika?

Absolutnie niepodrabialną choreografię, która doczekała się uwiecznienia w indywidualnej nazwie, a na dodatek wykonana została nie jako objaw radości, a element gry (!), opracował natomiast Jerzy Dudek (choć przyznał, że pomysłodawcą niezwykłych zachowań był jego klubowy kolega, Jamie Carragher). I to w finale Ligi Mistrzów! Jego „Dudek Dance” na tyle skutecznie rozpraszał zawodników AC Milan, że przyniósł Liverpoolowi triumf w najbardziej prestiżowych rozgrywkach na świecie.



Piotr Świerczewski z Izabelą Skierską w „Tańcu z Gwiazdami”.

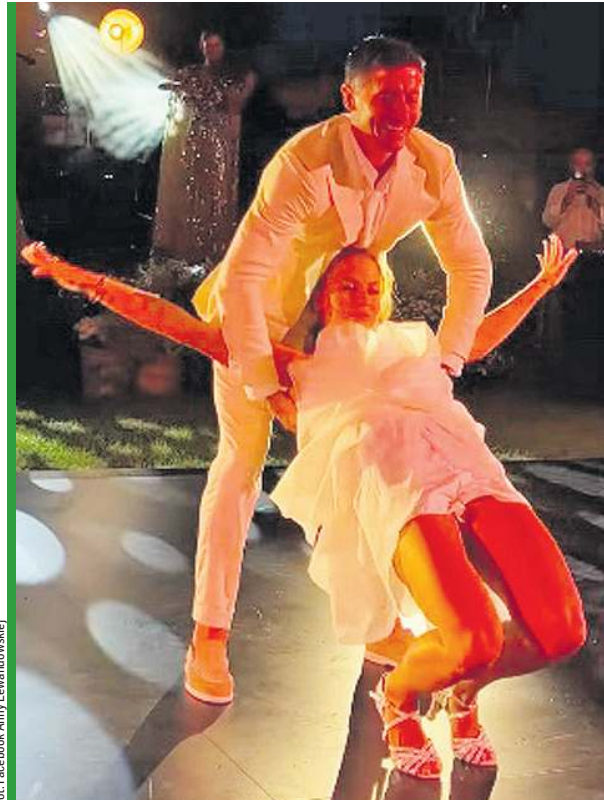
Zakochany w rumbie

Nie tylko jednak z boiskiem, ale czasem i z klasycznym parkietem mierzą się piłkarze: w trakcie kariery i po jej zakończeniu. Bodaj najbardziej „zawodowo” taneczne wyzwanie podjął Piotr Świerczewski. Srebrny medalista igrzysk w Barcelonie z 1992 roku ponad trzy dekady później został uczestnikiem programu „Dancing with the Stars”. Z Izabelą Skierską – delikatnie i wręcz niezauważalnie przez nią prowadzony – dzielnie walczył z tanecznymi krokami i parkietowymi choreografiami. Zaczynał od walca wiedeńskiego, by w kolejnych etapach telewizyjnego widowiska przejść do repertuaru klasycznego do latynoamerykańskiego. - Lubię takie rytmy, dobrze się w nich czuję – przyznawał w rozmowie z tabloidami po odcinkach, w których przyszło mu kręcić biodrami i drobić kroczkami w cza-czy, a potem wyginać się zmysłowo w rumbie. Dynamicznie też sunął przez taneczną arenę w rytm quickstepa do czeskiego hitu „Jożin z Bażin” grupy Banjo Band. - Trenowaliśmy po sześć siedem godzin dziennie, ale i tak zawodowcem nie będę, bo jest niemożliwe, żeby w tydzień opanować wszystkie szczegóły poszczególnych tańców – podsumowywał w rozmowie z tabloidami swój występ w programie. Wyteżony wysiłek i pot pływający z czoła nie zniechęcił go jednak do sztuki.

- Bardzo mi się to spodobało i na pewno jeszcze będę tańczył. Namawiam żonę, żebyśmy poszli na kurs tańca – zdradzał już po odpadnięciu z rywalizacji.

Do granic zmysłowości

Nieco wcześniej internetową sieć – za sprawą samej uczestniczki „podrygów”, która chętnie dzieliła się w mediach społeczeństwowymi postępowaniami w nauce – założył filmik z udziałem Anny Lewandowskiej, pobierającej lekcje bachaty. „To jeden z tańców latynoamerykańskich, określany również mianem sensual. Charakteryzuje



Anna i Robert Lewandowski w bachacie na dziesiątą rocznicę ich ślubu.

się prostym krokiem podstawowym. Kluczowym elementem bachaty jest zmysłowość” - to encyklopedyczna formułka opisująca pochodzący z Kariibów taniec. Ze względu na wspomniany „szał zmysłów”, tik-tokowe i instagramowe wideonagrania zbierały – niemal po równo - lajki i hejty. Wskutek tego – jak ujawnia w książce o kapitanie polskiej kadry Sebastian Staszewski - temat tanecznych fascynacji małżonki wkrótce zaczął „mocno uwierać” Roberta Lewandowskiego. Ostatecznie więc ograniczyła ona swą aktywność w tym

zakresie – przynajmniej w social mediach. Nie zmienia to jednak faktu, że sam „Lewy” z pewnością niejedną lekcję bachaty pobrał. Na dziesięciolecie ślubu państwo Lewandowscy przygotowali bowiem – i oczywiście zaprezentowali w sieci – dwuminutowy pokaz, którego piłkarz bynajmniej nie był jedynie „elementem statycznym”. Swoją drogą i w poprzednich latach snajper Barcy wrzucał na swoje konto w mediach społecznościowych filmy pokazujące jego „kocie ruchy” w kilku układach choreograficznych.



Nieżyjący już Piotr Rocki (na pierwszym planie) miewał wiele tanecznych pomysłów na celebrowanie gola. Tu najśtywniejszy, czyli „Krakowiaczek ci ja”...

Na dyskotekach i w... windzie

Michał Skóraś do reprezentacji Polski wrócił jesienią tego roku, od razu zyskując aplauz szerokiej widowni. Ostatnie tygodnie to nowe obowiązki piłkarza Gentu: z narzeczoną Adą doczekali się bowiem syna Maximiliana. Sylwestra 2025 spędzą więc już w trójkę. W poprzednich latach para chętnie dzieliła się wrażeniami i fotkami z tej najbardziej roztańczonej nocy w całym roku. Nie tylko stąd jednak wiemy, że jako nastolatek Skóraś otwarty był na wszelkie taneczne nowości. - Nigdy nie chciałem mieć w zespole wyłącznie grzecznych chłopaków, a to była grupka urwisów – opowiadał mi o swych ówczesnych podopiecznych ze szkoły piłkarskiej MOSiR-u Jastrzębie trener Łukasz Włodarek. Pisukusi miewali wymiar żartobliwy, związany z panującymi akurat muzycznymi modami - Pamiętam scenę z wyjazdu drużyny do Gdyni. Kiedy otworzyły się drzwi hotelowej windy, na którą czekałem, zobaczyłem w środku moich chłopaków tańczących „Gangnam Style”. Oczywiście z Michałem w roli wodzireja – śmiał się obecny asystent Igora Jovicevicia w Widzewie. I dorzucał: - Michał nagrał też z chłopakami ich własną wersję „Harlem Shake”, choć filmik pokazali mi dopiero po paru latach.

Jackson byłby dumny!

Dodatkowy element wiedzy na temat tanecznych fascynacji syna dokładał mi też Krzysztof Skóraś. - Syn zawsze dobrze czuł się na szkolnych dyskotekach. Kapitałnie naśladował Michała Jacksona: „moonwalk” zawsze świetnie mu wychodził, ku radości kolegów z klasy! - zdradzał ojciec naszego reprezentacyjnego skrzydłowego.

Przytoczone przykłady to tylko maleńki wycinek „tanecznej rzeczywistości”. Nie tylko piłkarskiej, bo ktoś z nas nie lubi „rozruszać bioder” czy podrygiwać w rytm muzyki? Czasem trochę wstydlawie, w samotności; innym razem publicznie, dla wielotysięcznych odśłon w social mediach. Zresztą pewnie i za kilka godzin zostaną one zalane nową porcją fotek i filmików prezentujących parkietowe szaleństwa sylwestrowej nocy!

Dariusz Leśnikowski

KRÓTKA PIŁKA

LEGIA WARSZAWA

ARSENIĆ
ZA KAPUADIEGO!?

■ Legioniści przygotowani do rundy wiosennej zaczynają 4 stycznia aszuna. Roszczenia na trenerskim stołku sprzyja wszelkim spekulacjom personalnym. Jak donoszą „meczyki.pl”, nowy opiekun Legii chętnie wziętyby ze sobą z Rakowa jednego ze swych zaufanych zawodników. Mowa o Zoranie Arseniciu, choć ten – po październikowej operacji sportowej urazem w meczu z Motorem – nie będzie gotowy do podjęcia treningów z chwilą ich rozpoczęcia. Chorwat miałby ewentualnie wypełnić przy Łazienkowskiej miejsce po Stewie Kapuadim, którym – jak informuje „Piłka Nożna” – interesować się mają kluby Serie A (Torino, Genoa). Absolutnie egzotycznie brzmi natomiast news kazachskiego serwisu „amanvibe.kz”, według którego grę w tym kraju miałby rozważać Bartosz Kapustka! Kontrakt reprezentanta Polski z Legią kończy się 30 czerwca 2026.

LECH POZNAŃ

ODJAZD DO STOLICY

■ Niespełna 20-letni Kornel Lisman ma już w CV mistrzostwo Polski, zdobyte z Lechem pół roku temu. Minionej jesieni też dostawał sporo szans gry od Nilsa Frederikseny. Teraz jednak do zdrowia – po długiej boiskowej nieobecności – wraca m.in. Daniel Hakans i Patrik Walemark, dzięki czemu mocno wzrosła konkurencja do gry na skrzydłach. W tym kontekście Kolejorz rozważa wypożyczenie młodego pomocnika na pół roku do pierwszoligowej Polonii Warszawa.

ZAGŁĘBIE LUBIN

MRÓZ ODCHODZI
W GRUDNIU

■ Przez większą część sezonu 2024/25 Marek Mróz był podstawowym zawodnikiem „Miechów”. Jego status zmienił się jednak po objęciu sterów przez Leszka Ojrzyńskiego. Minionej jesieni 26-latek zaliczył już tylko dwa „ogony” ligowe, i to na samym początku rozgrywek. W tej sytuacji pomocnik – za porozumieniem stron – rozwiązał kontrakt z lubinianami. Do czerwca 2027 roku będzie natomiast piłkarzem „Czarnych Koszul” z Konwiktorskiej.

POGOŃ SZCZECIN

MUSA MUSI ODEJŚĆ?

■ Portowcy szukają sposobu na... rozstanie z Musą Jura – poinformował „Kurier Szczeciński”. Gambijczyk, mający za sobą m.in. przygodę z Serie A, „nie robi liczb” w zespole ze Szczecina (gol i dwie asysty w lidze jesieni). Nie jest również ulubieńcem kibiców po publikacji w mediach społecznościowych jego fotki z nocnego klubu. Kontrakt zawodnika z Pogonią obowiązuje jednak do czerwca 2028.

Sześć lat żelaznego Chorwata

W Nowy Rok formalnie minie szósta rocznica dołączenia Frana Tudora do klubu spod Jasnej Góry. Kapitan czerwono-niebieskich ma udział we wszystkich jego sukcesach.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Na kontrakcie widnieje data 1 stycznia 2020 roku, ale Chorwat znalazł się pod Jasną Górą już kilka dni wcześniej. Z obecnej kadry jest piłkarzem z najdłuższym stażem, a jego przyjeździe do Częstochowy towarzyszyły spore emocje, bo kilka lat temu praktycznie nie zdarzało się, aby gracz z takim CV trafił do beniaminka ekstraklasy, zajmującej wówczas bardzo odległe, 29. miejsce w europejskim rankingu.

Wykorzystali
moment

Jak zatem w ogóle do tego doszło? Raków miał dużo szczęścia, wykorzystał idealnie sytuację, w której zawodnikowi skończył się kontrakt z Hajdukiem Split i od pół roku był na bezrobociu. – Za dużo ryzykowałem. Miałem kilka ofert z dobrych klubów, ale je odrzucałem, bo myślałem, że nadejdą jeszcze lepsze. W ten sposób straciłem kilka miesięcy. Gdy zbliżało się zimowe okno transferowe, powiedziałem sobie: „Biorę pierwszą ofertę z klubu, który naprawdę będzie mnie chciał”. I tę ofertę złożył Raków.



Fran Tudor (z kapitańską opaską) nie szczędił sił w meczu i... gardła po końcowym gwizdku.

Utrzymać wysoką dyspozycję przez tyle sezonów to nie lada wyzwanie, a Tudorowi się to udało. Jeśli tylko jest zdrowy lub akurat nie pauzuje za kartki, poważnie gra od pierwszej do ostatniej minuty. W tym sezonie nie doczekał się jeszcze bramki, ale nie taka jest rola prawego wahadłowego w Rakowie. To piłkarz mocno uniwersalny (doskonale radzi sobie również w obronie), który w przeszłości potrafił zdobywać dla częstochowian absolutnie kluczowe gole.

Mowa choćby o eliminacjach do Ligi Mistrzów po zdobyciu tytułu w 2023 roku. To bramki Chorwata zapewniały Rakowowi przejście kolejnych rund – z Karabachem w Baku (1:1) czy w Limassol z Arisem (1:0) – aż do decydującej rozgrywki z Kopenhagą.

„Wyciągnęliśmy
maksę”

Po ostatniej wygranej z Omonią w Nikozji (1:0) Tudor mógł wspólnie z kolegami świętować zajęcie przez wicemistrzów Polski dru-

giego miejsca na koniec fazy ligowej Ligi Konferencji i doskonałą pozycję wyjściową na rundę wiosenną. Raków w trwającym sezonie na europejskiej arenie może pochwalić się świetnym bilansem: dziewięciu wygranych, dwóch remisów i zaledwie jednej porażki. – Wyciągnęliśmy maksę i to już na zawsze będzie zapisane w naszej historii. Szacunek dla całej drużyny i wielkie gratulacje ode mnie jako kapitana. Szkoda tej porażki z Maccabi, bo paradoksalnie to był jeden z naszych naj-

lepszych meczów w tym sezonie. Mieliśmy wtedy wiele bardzo dobrych sytuacji, oni w zasadzie pół, ale ją wykorzystali. Nie ma jednak co narzekać, bo na koniec roku możemy świętować. W pewnym momencie mieliśmy trochę problemów, ale robiliśmy swoje i wierzyliśmy w codzienną pracę – powiedział po meczu na Cyprze.

Coś pięknego

Spotkanie z Omonią było zarazem pożegnaniem z klubem trenera Marka Papszuna. Wiosną drużynę poprowadzi już Łukasz Tomczyk. – Na pewno te wszystkie zmiany jakoś na nas wpłyną, ale na razie to pozostaje z tyłu głowy, jest gdzieś tam daleko, bo przede wszystkim musimy odpocząć tak fizycznie, jak mentalnie. Sportowo jednak nie możemy się doczekać już tej 1/8 finału. Gra w Europie to jest coś pięknego, dlatego szukamy to maksymalnie i chcemy maksymalnie wykorzystać to, co już udało nam się zbudować – dodał Fran Tudor po ostatnim oficjalnym meczu Rakowa w tym roku kalendarzowym. W samej tylko rundzie jesiennej częstochowianie rozegrali aż 32 mecze o stawkę.

Mariusz Rajek

Pierwsze kuszenie trenera

Czas świąteczno-noworocznej „laby” sprzyja medialnym plotkom i spekulacjom. W przypadku Dmy Podlasia wręcz sensacyjnie brzmi pogłoska o możliwości odejścia Adriana Siemienia.

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK

Oskar Pietuszeński do FC Porto? A może Afimico Pululu do Widzewa? – transferowy rynek nie znosi próżni, bo zbyt wiele osób żyje z mieszania w tym „kociołku”. O ile pogłoski o zainteresowaniu Portugalczyków nastoletnim talentem z Białegostoku zapewne znajdzie potwierdzenie w rzeczywistości lada (ty)dzień (a przy

okazji – ustanowiony może zostać rekord transakcji „wychodzącej” z ekstraklasy), o tyle oferty dla Angolczyka z korzeni, ale reprezentanta DR Kongo z wyboru – to w tym momencie głównie szum medialny. Dokładnie tego pojęcia używają w tej kwestii działacze Jagiellonii. „Do tej pory nie otrzymaliśmy żadnej oferty za Pululu. Jest sporo szumu o kierunkach zagranicznych, ale nikt z nami nie rozmawiał. Podobnie Widzew” – zaznaczył dyrektor Łukasz Masłowski na łamach serwisu „Weszło”.

Jeszcze bardziej sensacyjnie brzmi domniemanie dotyczące trenera Adriana Siemienia. Jeszcze przed urlopem szkoleniowiec „Jagi” już miał z tyłu głowy nie tylko styczniowe obowiązki treningowe, ale także... ślepy los: oczywiście w kontekście wskazania rywala jego podopiecznych w 1/16 finału Ligi Konferencji. – Zobaczymy co los przyniesie.



Adrian Siemieniec sprawdza, czy to już czas na nowe wyzwania w karierze.

Jestem w stanie znaleźć plusy i minusy z obu ewentualnych wyników losowań – stwierdził, a my przypominamy, że Jaga zagra albo z Fiorentiną, albo z Rijeką. – Na tym się na razie nie skupiam – dodał w rozmowie z klubowymi mediami.

Znając pragmatyzm szkoleniowca i hierarchię

jego wyborów, zapewne nie skupia się także na medialnym szumie wokół swego nazwiska. A spekulacje owe – vide „meczyki.pl” – łączą go z klubami z krajów Beneluksu, głównie belgijskimi. Akurat na tamtym rynku Jagiellonia wyrobiła sobie niezłą markę: ledwie dwa tygo-

LICZBA SZKOŁENIOWCA

1,76

PUNKTÓW
zdobywa Jagiellonia
średnio w każdym meczu
ligowym za kadencji Adriana Siemienia na jej trener-
skiej ławce.

dnie temu w LK przywiozła bezbramkowy remis z Alkmaar, zaś niemal rok wcześniej za burtę tych samych rozgrywek wyrzuciła Cercle Brugge.

Kontrakt szkoleniowca z białostockim klubem obowiązuje do 30 czerwca 2026, jest w nim zapisana klauzula przedłużenia go o rok. Domniemywać jednak można, że w przypadku faktycznej możliwości podjęcia przezeń pracy np. w Jupiler League, włodarze z Podlasia – w uznaniu jego zasług dla Jagi – nie będą czynić mu przeszkód w zmierzaniu się z takim wyzwaniem.

(daj)

O człowieku, który zaraża

Wśród gwiazd polskiej piłki lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku Marek Dziuba był postacią chyba najmniej medialną.

Nie pchał się na pierwszy plan, nie strzelał goli (w reprezentacji trafił do siatki rywali tylko raz – w listopadzie 1980 roku w meczu z Algierią 5:1 na stadionie Hutnika w Krakowie), ciężko było mu się przebić do miana piłkarza meczu w reprezentacji i w klubie, bo pierwsi w kolejce do takiego wyróżnienia byli zwykle ci, którzy popisywali się strzałami pod poprzeczkę, dryblingami, dośrodkowaniami i główkami z 15 metrów.

Dlaczego Marek nie przychodzi?

Bez takich jak on nie byłoby jednak wielkiej drużyny Antoniego Piechniczka z mistrzostw świata 1982, ligowego ŁKS i pucharowego Widzewa z połowy lat osiemdziesiątych. Urodził się w Łodzi, gdy miastem rządził ŁKS, a o dzielnicowym Widzewie mało kto słyszał, jego piłkarski życiorys zaczyna się więc właśnie na stadionie przy alei Unii, gdzie trafił z ogłoszenia w gazecie.

Mieszkał na Bałutach, więc w przeciwieństwie do swoich rówieśników z Retkini, Karolewa czy z Polesia, na treningi już jako trampedkarz dojeżdżał tramwajem. I to właśnie z tramwajem związany jest incydent, który mógł zaważyć na jego karierze.

Tym samym tramwajem jeździł z pracy i do pracy w „Głosie Robotniczym” redaktor Władysław Lachowicz, przez wiele lat również korespondent „Sportu”, przyjaciel Tadeusza Bagiera i Franciszka Gorzelanego z początku lat pięćdziesiątych. Lachowicz był przed wojną piłkarzem Śmigłego Wilno, ale tylko rezerw, bo zadebiutować w pierwszym zespole nie zdążył. W Łodzi, gdzie się po wojnie osiedlił, wyczynowo już nie grał, zajmował się natomiast z upodobaniem szkoleniem piłkarskiej młodzieży. Był inicjatorem założenia pierwszej w Polsce „szkołki piłkarskiej” przy Zrzeszeniu Sportowym Włókniarz, prowadzonej profesjonalnie przez doświadczonych trenerów, z której wyszło wielu ligowych piłkarzy, z najbardziej znanym reprezentantem Polski Piotrem Suskim. Później realizował swoje pomysły w Łódzkim Klubie Sportowym, gdzie pracował z najmłodszymi.



Marek Dziuba powstrzymuje Paolo Rossiego podczas mistrzostw świata w Hiszpanii.

W jego grupie znalazł się wówczas 11-letni chłopak, który od razu się wyróżniał wśród kolegów. Nagle przestał pojawiać się na treningach. „Dlaczego nie przychodzi ten Marek? Co się z nim dzieje?” – zapytał jego kolegów. Jeden z nich powiedział prawdę: „Proszę pana, on się wstydził. Jechał z tatą, który był wstawiony i awanturował się w tramwaju. Pan go zobaczył i teraz mu głupio”. Lachowicz opowiadał później, że nie zauważył w ogóle tego incydentu. Zareagował jednak natychmiast – poszedł do domu państwa Dziubów, przeprowadził zasadniczą „rozmowę wychowawczą” z tatą, a Markowi wytłumaczył, że odpowiada tylko za swoje zachowanie, a nie kogoś innego. Marek został jego pupilem; kiedy już było o nim głośno i wyróżniał się w reprezentacji juniorów, przyniósł i pokazał nam w redakcji jego zdjęcie ze szkolnej legitymacji, które przechowywał w swoim trenerskim archiwum. W tej samej grupie był także Andrzej Milczarski, inny 70-latek, który też zagrał w reprezentacji Polski. Obaj przeszli później pod opiekę Władysława Króla, legendarnego w Łodzi sportowca i trenera, którego imię nosi obecnie stadion ŁKS. On też doskonale wiedział, co zrobić z ich talentem.

A Boniek siedział na ławce

W reprezentacji Polski juniorów grali w tym samym roczniku między innymi Stanisław Terlecki, Janusz Kupcewicz, Henryk Miłoszewicz. „A Boniek siedział na ławce” – z uśmiechem uzupełnia tę wyli-

czankę bohater tego tekstu. Jeszcze przed 18. urodzinami przyszła pora na debiut w ekstraklasie. 14 listopada 1973 roku, miesiąc po zwycięskim remisie na Wembley, w meczu z Wisłą w Krakowie Dziuba pojawił się w składzie ŁKS obok Tomaszewskiego i Bulzackiego, a także Lubańskiego, Szadkowskiego (to byli później jego partnerzy w obronie), Polaka, Ostalczyka, Kasalika, Drozdowskiego, Maleńkiego i Mszycy. Trenerem ŁKS był wówczas Paweł Kowalski, a w jego debiucie miał też udział sam Kazimierz Górski, który był wówczas trenerem koordynatorem w klubie, ale faktycznie prowadził drużynę.

18-latek nie miał oczywiście szans na miejsce w kadrze na mistrzostwa świata w 1974 roku i „Orłem Górskiego” nie został, ale widać było, że jego debiut

w kadrze A jest tylko kwestią czasu. Dostał powołanie od Jacka Gmocha. Debiut 13 kwietnia 1977 roku był godny, bo na prestiżowym Népstadionie w Budapeszcie w meczu przeciwko Węgrom, choć radość nie była pełna, bo Polska przegrała 1:2. Wszedł do gry z ławki, ale jeszcze w swoim pierwszym reprezentacyjnym sezonie aż osiem razy wyszedł do gry w pierwszej jedenastce. Grał w ważnym meczu eliminacji mistrzostw świata z Danią w Kopenhadze (2:1), brał udział w rekonesansowym tournée po Ameryce Południowej przed mistrzostwami świata (1:3 z Argentyną, 3:1 z Peru, 1:3 z Brazylią, a także nieoficjalnie z argentyńskimi drużynami klubowymi w Cordobie, Jujuj, Mendozie i Tucuman). To rekordowo długie tournée trwały prawie miesiąc,

a 22-osobowa kadra grała aż osiem razy!

Młody zawodnik nie wytrzymał fizycznie, a może i psychicznie takiego obciążenia. Już w spotkaniu z Austrią w Wiedniu (1:2) Dziuba nie wypadł najlepiej, a dwa tygodnie później w meczu z ZSRR w Wołgogradzie (1:4) – wręcz tragicznie. Przyszło mu mierzyć się z samym Olegiem Błochinem, wówczas gwiazdą światowej klasy. Błochin mijał Dziubę jak chciał, strzelił dwa gole i jeszcze przed końcem załamanego piłkarza zmienił rezerwowo. Gmoch go skreślił, Argentyna była już poza zasięgiem. Czy reprezentacja także? Dziuby nie było w kadrze po tym meczu przez półtora roku.

Zaufał mu ponownie Ryszard Kulesza, powołując na zimowy wyjazd kadry do Tunezji i Algierii w 1979 roku. W Tunisie (2:0 dla Polski) Dziuba zagrał na prawej obronie obok Pawła Janasa, Władysława Żmudy i Antoniego Szymanowskiego i z debiutującym Józefem Młynarczykiem w bramce – to była pierwsza próba „hiszpańskiego” ustawienia, choć do Mundialu 1982 było jeszcze trzy lata.

Kartka? Jaka kartka?

Jesień 1981 roku była w Polsce niespokojna. Rok kończył się ogłoszeniem stanu wojennego i były ważniejsze sprawy niż przygotowania do mistrzostw świata. Nowym trenerem został Antoni Piechniczek, który pamiętał o Dziubie. Co więcej, awansował go na kapitana dru-

żyny już w pierwszym meczu pod swoim kierunkiem z Rumunią w Bukareszcie (niestety – 0:2). W eliminacjach mieliśmy grupę trzyzespołową, co oznaczało, że nie ma marginesu błędu – trzeba było wygrać wszystkie mecze z NRD i z Maltą. Z NRD w Chorzowie było 1:0 dla Polski, Malta nie stwarzała problemów, kluczowy okazał się więc mecz w Lipsku. Oglądałem to spotkanie na żywo, a potem jeszcze kilka razy przy okazji rocznicowych powtórek w telewizji. Przypomnijmy więc i my, że po 5 minutach było już 2:0 dla Polski po golach Włodzimierza Smolarka i Andrzeja Szarmacha, a gdy zrobiło się 2:1, to Smolarek trafił jeszcze raz. Zwycięstwo 3:2 było wyższe sędząc po przebiegu gry niż sam wynik. To był jeden z najlepszych meczów reprezentacji w historii, a Dziuba (oczywiście w roli kapitana) był nie do sforsowania w defensywie. Grał w stylu „piłka może przejść, ale przeciwnik – nigdy” i przy dzisiejszym stylu sędziowania wyleciałby z boiska z czerwoną kartką. Skończyło się na żółtej i kontuzji, która nie pozwoliła mu dokończyć tego meczu. Zastąpił go nie byle kto – Roman Wójcicki. Taką mieliśmy wtedy reprezentację!

Akurat w NRD taki sposób gry nikogo nie dziwił. Kiedyś Dziubę wyrzucił z boiska w sparingowym meczu ŁKS z Unionem Berlin znany tamtejszy arbiter Rudi Glöckner. Ponieważ część mojego zawodowego życia spędziłem w Lipsku i byłem korespondentem „Deutsches Sportecho”, znałem go osobiście. Poszedłem do szatni negocjować wykreślenie tej czerwonej



Marek Dziuba w reprezentacji Polski przed towarzyskim spotkaniem z Hiszpanią w Łodzi (2:3), które odbyło się 18 listopada 1981 roku. Był to pożegnalny mecz Jana Tomaszewskiego. Od lewej w górnym rzędzie: Tomaszewski, Tadeusz Dolny, Piotr Skrobowski, Stefan Majewski, Jan Jałocha. Od lewej w dolnym rzędzie: Zbigniew Boniek, Grzegorz Łato, Dziuba, Włodzimierz Smolarek, Andrzej Iwan i Andrzej Buncoł.

... i wola walki

kartki z sędziowskiego protokołu, by przypadkiem PZPN nie miał ochoty zawiesić zawodnika, ale Glöckner udając zdziwienie powiedział: „Kartka? Była jakaś czerwona kartka?”

Na same mistrzostwa Piechniczek miał już jednak inny pomysł – Stefana Majewskiego i Jana Jałocha na bocznej obronie. Dziuba znalazł się w takiej samej sytuacji, jak osiem lat wcześniej jego klubowy kolega Mirosław Bulzacki, który wywalczył remis na Wembley, ale w samych mistrzostwach w 1974 roku nie zagrał ani minuty. Był na pewno zawiedziony, ale rozumiał, że liczy się dobro zespołu. W trzecim meczu Polaków (5:1 z Peru) kontuzji doznał jednak Jałocha i Marek Dziuba przejął jego

piłkarsko państw, do których pasuje określenie „oficjalny mecz towarzyski”.

Reprezentacja była od święta, codzienność to z kolei 477 meczów ligowych w ŁKS, Widzewie i Sint Truidense w 19 sezonach! Poza wspomnianą datą debiutu w ekstraklasie ani słowa nie było dotąd w tym tekście o występach Marka Dziuby w macierzystym ŁKS. No cóż, to trudny temat, o którym sam piłkarz nie chce nawet teraz wspominać. Dlaczego drużyna, w której nie brakowało reprezentantów Polski, nie osiągnęła niczego w krajowej rywalizacji? „Mógłbym urazić wielu ludzi, gdybym powiedział prawdę” – stwierdził niedawno w jednym z wywiadów. Dodam od siebie – za dużo

atmosfera w ŁKS była wspólna, byliśmy ze sobą zżyci, spotykaliśmy się rodzinnie. Większość chłopaków była z Łodzi, mieszkaliśmy blisko siebie – to był rzeczywiście łódzki klub” – wspomina.

Sezon 1984/85 rozpoczął już w Widzewie. Mistrzowski tytuł nie udało się Widzewowi obronić, jego nowy klub zdobył natomiast Puchar Polski po wygranej karnymi w finale z GKS Katowice, a on sam zagrał „w Europie” już wcześniej przeciwko Duńczykom z Aarhus (2:0 i 0:1), Borussii Moenchengladbach (2:3 i 1:0) oraz Dynamu Mińsk (0:2 w Łodzi i 1:0 w Tbilisi). Rewanż z Dynamem rozgrywano daleko od centrum Europy, bo był grudzień i oba-



Mecz o trzecie miejsce MŚ z Francją: od lewej Józef Młynarczyk, Marek Dziuba i Alain Couriol.

pitana samolotu. Dziennikarze wracali do Polski tym samym czarterem, ale nie baliśmy się, bo automatycznie pilot czuwał.

Nie wiem, czy to mecze pucharowe pomogły w transferze do belgijskiego zespołu Sint Truidense, gdzie Marek spędził aż pięć lat. Tam też rozpoczął pracę trenerską jako asystent trenera pierwszej drużyny. Po krajowej praktyce w Ceramice Opoczno zaproponowano mu pracę w jego ŁKS, w którym akurat realizowano to, czego nie było w latach jego gry: Antoni Ptak zapewnił takie warunki, że zdobycie mistrzowskiego tytułu pod jego kierunkiem stało się możliwe. Po wygraniu meczu z KSZO w Ostrowcu Świętokrzyskim, który zapewnił tytuł mistrza Polski w 1998 roku, grający w ŁKS Brazylijczyk Rodrigo Carbone wyłał na niego wiadro wody. Takiej radości nie przeżył jako zawodnik, spełnił się natomiast jako trener. W eliminacjach Ligi Mistrzów jego drużyna zagrała na Old Trafford i w Łodzi z Manchesterem United, a na konferencji prasowej siedział obok Aleksa Fergusona i Bobby'ego Charltona. ŁKS przegrał 0:2 w Manchesterze, ale w Łodzi skończyło się bezbramkowo. To był jedyny mecz wyjazdowy w tym sezonie pucharowym, w którym Manchester nie zdobył bramki. Dziuba nie było na boisku. Wystarczyło, że biegł za boczną linią.

Rok później doprowadził Widzew do wicemistrzostwa. To było piękne ukoronowanie bogatej kariery najlepszego łódzkiego piłkarza w historii, łódzkiego nie tylko z racji gry w drużynie z tego miasta, ale i z urodzenia, i z wychowania.

Następne lata nie były już dla Marka tak pomyślne, sportowo i życiowo. Miał swoje problemy, nie do końca panował nad swoim życiem. Zmarła jego żona Danuta. Koledzy z klubu nie opuścili go jednak. Z obecną

partnerką Anią mieszka teraz niedaleko mnie – na łódzkich Stokach. Czasem wracamy razem z meczu. Tramwajem numer dwanaście.

Entuzjazm w grze i wola walki

Żaden piłkarz ŁKS albo Widzewa nie miał takiego urodzinowego benefisu jak Marek Dziuba, który 19 grudnia skończył 70 lat życia. Organizatorami byli członkowie sekcji walking footballu ŁKS, gdzie Dziuba jest trenerem i zawodnikiem, bo to gra dla starszych panów. W hali ŁKS odbył się turniej z udziałem zaprzyjaźnionych drużyn z Almelo w Holandii, Dortmundu i Sint Truiden, gdzie pamiętają Marka do dziś. Przyjechali na urodziny trener Antoni Piechniczek („Zarażał wszystkich entuzjazmem w grze i wolą walki” – mówił o nim w okolicznościowej laudacji), Michał Listkiewicz, Józef Młynarczyk, Jacek Krzynówek, Piotr Świerczewski, wiceprezes PZPN Adam Kaźmierczak, prezes spółki Ekstraklasa SA Marcin Animucki, polski król kibiców Andrzej Bobowski, były rzecznik PZPN Tomasz Jagodziński, obecny właściciel ŁKS Dariusz Melon, olimpijczyk Zygfryd Kuchta (akurat piłkarz ręczny),

koledzy z drużyny ŁKS, w której grał i z tej, z którą zdobył mistrzowski tytuł jako trener – Mirosław Bulzacki, Ryszard Polak, Marek Chojnacki, Andrzej Milczarski, Zdzisław Leszczyński, Leszek Kwaśniewicz, Marek Saganowski, Grzegorz Krysiak, Tomasz Kłos, Rafał Niżnik, Tomasz Lenart, Artur Kościuk, Ryszard Robakiewicz, Zdzisław Kostrzewiński, który również grał w ŁKS i w Widzewie. Była też delegacja Widzewa, bo Marek zapracował na szacunek po obu stronach miasta i jest wręcz symbolem pojednania. W Galerii Sław Łódzkiego Sportu na stadionie odsłonięto pamiątkową tablicę obok tablic z nazwiskami Marii Kwaśniewskiej-Maleszewskiej, Artura Partyki i Marcina Gortata. Ukazała się książka autorstwa Mariusza Gossa.

Nie zabrakło dziennikarzy, bo zawsze ceniliśmy go za skromność, konkret w wypowiedziach, brak „gwiazdorstwa” we wzajemnych kontaktach. Był tam także niżej podpisany – znam Marka od ponad 50 lat, dokładnie śledziłem jego karierę, stąd też poufały ton niektórych przedstawionych tu obrazków z jego życia i z naszych wzajemnych kontaktów.

Wojciech Filipiak



Jeszcze jedna fotka z półfinałowego meczu Espana'82 z Włochami. Zatraskana mina Marka Dziuby nie może dziwić - przegraliśmy 0:2...

pozycję na boisku, ale Żmuda kapitańskiej opaski już mu nie oddał.

Turniej w Hiszpanii zakończył faktycznie reprezentacyjny rozdział kariery Marka Dziuby, bo potem były już tylko występy w roli rezerwowego w czterech spotkaniach. Oficjalny bilans jego meczów w reprezentacji zamyka się liczbą 53. Występów w koszulce z białym orłem było jednak więcej, bo kadra rozgrywała też mecze z zespołami klubowymi z innych krajów (na przykład podczas wspomnianego wcześniej tournée po Ameryce). Nie były to żadne sparingi na boisku za hotelem jak wyśmiewany często mecz z „olimpijską reprezentacją Bośni i Hercegowiny”, a ważne sportowo i medialnie potyczki z ligowymi drużynami z liczących się

w zespole było sprzecznych interesów, piłkarze nie zawsze grali razem do jednej bramki, a i słynny trener nie dawał najlepszego przykładu. No i był już w Łodzi Widzew. „Gdyby w ŁKS była taka organizacja jak w Widzewie, rządilibyśmy ligą przez wiele lat” – twierdzi dzisiaj Marek.

Rodzinna atmosfera

Dziuba zbliżał się do trzydziestki, pora była więc pomyśleć o emeryturze, co dla piłkarza oznaczało wyjazd do klubu z zachodniej Europy. Podjął więc decyzję o przejściu do Widzewa, który przecież miał stały kontakt z Europą poprzez rozgrywki pucharowe. Jego autorytet w Łodzi i w ŁKS był już tak wielki, że przyjęto tę decyzję ze zrozumieniem. Żałował, że opuszcza swój klub: „At-

wiano się, że na Białorusi będzie za zimno. Tymczasem to w Tbilisi było minus siedem i grano w gęstej śnieżycy. Bramkę zdobył Dariusz Dziekanowski, który ma z Dziubą tyle wspólnego, że niepochlebnie się o nim wyrażał w słynnym wywiadzie w „Sportowcu”, w którym żegnał się z Widzewem. W Łodzi wówczas bardzo Dziekanowskiego nie lubiliśmy, a przy okazji także... prowadzącego wywiad Jurka Chromika, dziś naszego kolegę z felietonowej strony „Sportu”. Zwycięstwo nie wystarczyło do wyeliminowania Dynama, żałoby podczas powrotu jednak nie było. Piloci zapraszały do zwiedzania kabiny i pozwolili posiedzieć na swoich fotelach. Marek Dziuba kapitanem drużyny już nie był, pełnił za to przez chwilę obowiązki ka-



Apetyt Marka Dziuby na wielką piłkę został zaspokojony!

Futbolowo, hip-hopowo, odjazdowo

Halowy turniej coraz bliżej! W Katowicach podczas imprezy Superbet Spodek Super Cup koncert zagra legendarny raper Peja.

Wrażenia sportowe będą oczywiście daniem głównym podczas Superbet Spodek Super Cup - turnieju, który odbędzie się 6 stycznia. Turniej zawodowych drużyn piłkarskich, które grają na małym boisku otoczonym bandami LED, jest rzeczywiście fantastyczną zabawą dla kibiców i piłkarzy. To niecodzienne zmagania, w ich trakcie fani mogą z bliska przyrzeć się idiom rywalizującym w niecodziennych warunkach. Oczywiście; dalej będą grali w piłkę, ale zachowanie na boisku będzie już inne, liczą się umiejętności techniczne, tak - aby zadowolić tysiące ludzi zgromadzonych na trybunach. Podkreślimy: organizatorzy turnieju nie zamykają się jednak na inne - poza sportem - dziedziny! Chcą zapewnić atrakcje różnorodne, zadbał też o obsadę artystyczną wydarzenia.

W przerwach między meczami turnieju głównego, odbędzie się też miniturniej z udziałem m.in. Super Teamu (chodzi o futbolowe osobistości, zespół kompletuje Sławomir Pesz-

ko) i Reprezentacji Artystów Polskich. Ci ostatni to aktorzy, muzycy, dziennikarze i ludzie kultury. Motywacja będzie niecodzienna: na sztucznej murawie spotkają się m.in. z byłymi reprezentantami Polski (Reprezentacja Gwiazd Piłkarzy Polskich) - ludźmi, którzy na futbolu zjedli zęby i niejedno trofeum zdobyli. - Robimy też ukłon w kierunku najmłodszej publiczności, która ma swych własnych idoli i ulubieńców - mówi organizator imprezy, Grzegorz Górski, przywołując czwartą ekipę zaproszoną do pokazowych gier. To Reprezentacja Twórców Internetowych - influencerów i youtuberów, których kanały w social mediach generują wielomilionowe odsłony.

Jeden artysta będzie się wyróżniał, ponieważ nie będzie biegał za piłką po boisku, a da koncert. W poprzednim roku ludzie zgromadzeni na trybunach w Spodku w przerwie od meczów mogli oglądać

koncert Rahima i Fokusa - duetu, który stworzył legendarny zespół hiphopowy Paktofonika. Duet doświadczonych muzyków rozkręcił zabawę, grając w większości przed... własną publicznością, bo Paktofonika powstała w Bogucicach, ledwie kilka minut drogi od Spodka.

Teraz katowicka publiczność znów będzie mogła przeżyć hiphopowe emocje, ponieważ w Spodku zagra legendarny raper Peja. Ten 49-latek z Poznania aktywny na scenie hiphopowej jest od 1993 roku. To raper, który budował podstawy kultury hiphopowej w naszym kraju. Jest współzałożycielem zespołu Slums Attack, ale zrobił też fantastyczną karierę solową. 6 stycznia wystąpi w Katowicach, ale z uwagi na to, że jest on mocno związany z Poznaniem, jego występ w Spodku będzie szczególnie także dla kibiców z tego miasta, którzy będą wspierać zespół Wiara Lecha. Peja w trakcie turnieju wystąpi trzykrotnie, uatrakcyjniając czas w trakcie przerw pomiędzy turniejem głównym a miniturniejem gwiazd.

(ka)

PEJA - GODZINY WYSTĘPÓW

OK. 14:00

OK. 16:20

OK. 19:30

SUPERBET
SPODEK SUPER CUP

Raper Peja przyjedzie z Poznania, żeby trzykrotnie wystąpić przed katowicką publicznością.

HARMONOGRAM TURNIEJU POKAZOWEGO

15:51	SUPER TEAM - REPREZENTACJA ARTYSTÓW POLSKICH
16:06	REPREZENTACJA GWIAZD PIŁKARZY POLSKICH - REPREZENTACJA TWÓRCÓW INTERNETOWYCH
16:21	SUPER TEAM - REPREZENTACJA GWIAZD PIŁKARZY POLSKICH
17:41	REPREZENTACJA ARTYSTÓW POLSKICH - REPREZENTACJA TWÓRCÓW INTERNETOWYCH
17:55	REPREZENTACJA TWÓRCÓW INTERNETOWYCH - SUPER TEAM
18:09	REPREZENTACJA ARTYSTÓW POLSKICH - REPREZENTACJA GWIAZD PIŁKARZY POLSKICH

Argentyna pierze... brudy

We wtorek policja przeprowadziła w Buenos Aires nalot na siedzibę Argentyńskiego Związku Piłki Nożnej (AFA) w ramach śledztwa w sprawie domniemanego unikania płacenia podatków przez firmę powiązaną z federacją - ujawniły miejscowe media.

To kolejny przypadek wejścia policji do AFA, po raz pierwszy miało to miejsce na początku grudnia. Wtedy rewizja odbyła się w siedzibie związku w centrum Buenos Aires oraz na obozie treningowym reprezentacji w Ezeiza, miejscowości położonej na południe od stolicy kraju. Tam działano w ramach odrębnego postępowania dotyczącego podejrzenia prania brudnych pieniędzy.

Prokuratura na razie nie ujawniła szczegółów śledztwa. Natomiast AFA w oficjalnym komunikacie napisała, że padła ofiarą „kampanii oszczerstw”. Śledztwo - jak wynika z informacji medialnych - dotyczy również firmy TourProdenter, partnera AFA, obracającej milionami euro. Tego dnia przeszukano również dom właściciela tejże firmy, położony w prywatnej luksusowej dzielnicy mieszkalnej na północ od stolicy, a on sam otrzymał zakaz opuszczania kraju.

W Argentynie od dość dawna relacje między wpływową postacią piłki nożnej Claudio Tapią, prezesem AFA od 2017 roku i liderem związkowym, a administracją ultraliberalnego prezydenta Javiera Milei są napięte. Tapia jest bowiem fundamentalnie przeciwny idei przekształcenia argentyńskich klubów, stowarzyszeń „socios” w spółki akcyjne otwarte na inwestycje zagraniczne, za czym wielokrotnie opowiadał się prezydent Milei.

GŁOSUJĘ NA...

MACIEJ MAŃKA
legenda GKS-u Tychy

Nieźmiennie od 15 lat wybieram Roberta Lewandowskiego. Nie wiem, czy znajdzie się ktoś inny



godny wygranej. Patrzę na całokształt. W piłce klubowej „Lewy” zdobył mistrzostwo Hiszpanii, był wicekrólem strzelców. Jestem od niego rok młodszy i... patrzę także przez ten pryzmat. Ostatnio nagrodę (dla najlepszego piłkarza na Bliskim Wschodzie - przyp. red.) zdobył Cristiano Ronaldo i powiedział, że ma jeszcze jeden cel - zdobyć 1000 bramek. Wtedy będzie mógł skończyć. Jestem pełen podziwu patrząc na tych panów, którzy są starsi ode

mnie, bo ja z piłką nie mam teraz zbyt wiele wspólnego. Mam nadzieję, że zadzwoni pan do mnie także za rok i będzie mógł wytypować tak samo, żeby docenić to, w jakim miejscu znajduje się Robert mimo wieku. Chęć wygrywania gdzie on zawiesza poprzeczkę dużo młodszemu piłkarzom, również w reprezentacji. Jest dla nich wzorem i wyznacznikiem.

REGULAMIN PLEBISYTU PIŁKARZ ROKU 2025

1. Głosowanie w 59. plebiscycie Czytelników „Sportu” na Piłkarza Roku odbywa się w terminie 3.12.2025 - 31.12.2025.

2. Głosy oddawać można poprzez aplikację „Sportu”, a także na stronie dzienniksport.com.pl po wcześniejszym nieodpłatnym zalogowaniu się do aplikacji lub na stronie.

3. Czytelnicy głosują na 10 spośród 20 nazwisk kandydatów, wytypowanych wcześniej przez kolegium redakcyjne. Lista kandydatów zamieszczona jest w aplikacji „Sportu” oraz na stronie dzienniksport.com.pl.

4. Głosowanie odbywa się poprzez uszeregowanie wybranych przez Czytelnika kandydatów na pozycjach od 1 do 10. Kandydaci otrzymują punkty w następujący sposób: 1. miejsce - 10 punktów, 2. - 9, 3. - 8, 4. - 7, 5. - 6, 6. - 5, 7. - 4, 8. - 3, 9. - 2, 10. - 1.

5. Punkty przyznane przez każdego głosującego, który opłacił dostęp do aplikacji „Sportu”, mnożone będą przez 10.

6. Każdego dnia (licząc od godz. 0.00 do 24.00) zalogowany użytkownik aplikacji „Sport” oraz zalogowany Czytelnik strony dzienniksport.com.pl może oddać tylko jeden głos.

7. Oddając głos, Uczestnik akceptuje treść Regulaminu, zobowiązuje się do przestrzegania zawartych w nim zasad oraz wyraża zgodę na przetwarzanie swoich danych osobowych w zakresie niezbędnym do realizacji plebiscytu.

8. Ogłoszenie zwycięzcy plebiscytu nastąpi w aplikacji „Sportu” oraz na stronie dzienniksport.com.pl 5 stycznia 2026 roku.

9. Wśród uczestników biorących udział w głosowaniu rozlosowanych zostanie 10 półrocznych dostępu do aplikacji „Sport”.

Yin i Yang na kaca

W Sunderlandzie odbędzie się hitowy mecz kompletnych przeciwności, który rozgrzeje noworoczną atmosferę.

ANGLIA

Mało kto jest na tyle twardy, aby zdecydować się na granie 1 stycznia. Anglicy jednak należą do tego wąskiego grona, bo licząc cztery najwyższe szczeble rozgrywkowe odbędzie się tam w czwartek kilkadziesiąt meczów. W znacznie mniejszej skali – ale także – zagrają w Walii, Australii, Izraelu, Bahrajnie oraz Iranie.

Niepokonani u siebie

Oczy kibiców Premier League będą skierowane na Stadion Światła, gdzie rewelacja tego sezonu, Sunderland, podejmie wicelidera, Manchester City. Faworyt tego spotkania jest oczywisty, tym bardziej z rozpędzonym Erlingiem Haalandem na szpicy. Jednakże Czarne Koty, siódme przed tą kolejką, rzetelnie pracują na miano najlepszego beniaminka od kilkunastu lat! Konsekwencja i regularność zespołu z północno-wschodniej Anglii są doceniane przez wszystkich kibiców i choć 6 grudnia City pokonało Sunderland 3:0 – to teraz jest wiara w rewanż. Nim rozpoczęło się wtorkowo-czwartkowe granie, tylko dwie ekipy w Premier League mogły poszczycić się mianem niepokonanych u siebie – a jedną z nich był właśnie Sunderland! – Musimy skupić się na sobie. Jeśli będziemy robić to, co zawsze, będzie dobrze – powiedział skrzydłowy beniaminka Simon Adingra, który w poprzedniej kolejce strzelił swojego debiutanckiego gola w Premier League, a jego drużyna zremisowała z drugim beniaminkiem, Leeds.

Albo szczęście, albo bramkarz

Sunderland gra sposobem, który dał mu sukces w Championship – a jest nim pragmatyzm. Angielskie media przypominają, że w 24-zespołowej lidze strzelił tylko 7 goli więcej

niż Plymouth, które spadło. Wspomniane Leeds, które wygrało rozgrywki, zdobyło... 37 bramek więcej. – Nie będziemy grać jak Guardiola czy De Zerbi, bo jesteśmy Sunderlandem, a ja jestem Regis Le Bris – przedstawił się swego czasu szkoleniowiec Czarnych Kotów. W Premier League tylko pięć ekip ma mniej trafień niż jego piłkarze (w tym cztery ostatnie). Ale jeśli chodzi o obronę – lepiej robią to tylko Arsenal i właśnie City. Bilans goli +2 jest może i skromny, ale co z tego? Co ciekawe, pod względem wykreowanych sytuacji Sunderland jest... drugi najgorszy w lidze. Jednakże jeśli chodzi o to, ile goli powinien stracić... także nie jest za wesoło. Według algorytmów jego defensywa nie powinna być trzecią, a dopiero... 13. w Premier League! Rywalom gdzieś umknęło 8,5 gola, które „powinni” strzelić.

W takiej sytuacji w grę wchodzi dwa wyjaśnienia – albo masz szczęście, albo dobrego bramkarza. W przypadku Czarnych Kotów działać mogą oba te czynniki, bo 22-lletni Robin Roefs spisuje się kapitalnie. Broni ponad 77 procent uderzeń (drugi wynik w lidze), a ma co robić, bo tylko dwaj golkipery mają więcej pracy. Także w tzw. statystyce goal prevented (gole, których uniknięto) przoduje. Lepiej, żeby w Sylwestra Roefs nie zabalował, bo City... ma najlepszy atak w lidze, najlepszego snajpera i najlepszego asystenta, Rayana Cherkiego. Nie ma dwóch bardziej różnych drużyn w Premier League. To przeciwności niczym Yin i Yang, które w naturze uzupełniają się, choć jutro... jedna energia będzie chciała zdominować tą drugą.

Piotr Tubacki

PROGRAM 19. KOLEJKI

Czwartek: Crystal Palace – Fulham, Liverpool – Leeds (oba 18.30), Brentford – Tottenham, Sunderland – Man. City (oba 21.00)



Robin Roefs broni bezpardonowo i skutecznie, ale w ostatnim meczu z City wpuścić 3 gole.



Cieszynka strzelca dwóch goli w meczu z Ugandą Raphael Onyedika (nr 18). Obok Bruno Onyemaechi.

Po raz pierwszy w historii Pucharu Narodów Afryki z grupy wyszła reprezentacja Tanzanii. Wszystko dzięki niespodziewanemu remisowi z finalistą MŚ.

PUCHAR NARODÓW AFRYKI

We wtorkowych grach interesowała przede wszystkim postawa tunezyjskich Orłów Kartaginy, które mogą być rywalem naszych Orłów podczas amerykańskich mistrzostw świata, jeżeli oczywiście wywalczymy awans w marcowych barażach.

Zagrali na (potrzebny) remis

W meczu w grupie C z Tanzanią trener Sami Trabelsi zdecydował się na zmiany w wyjściowym składzie. Wskoczyło do niego dwóch młodych, ofensywnych zawodników: 21-lletni Ismael Gharbi i 23-lletni Sebastian Tounekti. Obaj dali świetne zmiany w przegranym 2:3 meczu z Nigerią. Pokazywał się przede wszystkim Gharbi, który raz za razem strzelał na bramkę Taifa Stars (został "Man of the Match"). W 14 minucie piłka po jego uderzeniu trafiła w słupek. Trafił w końcówce I połowy z karnego, podyktowanego za faul Ibrahima Hamada na Hazemie Mastourim.

Faworyt dał się zaskoczyć zaraz po rozpoczęciu drugiej części, kiedy zaskakujący strzał z 25 metrów oddał Feisal Salum. W efekcie bramkarz Aymen Dahmen, niezbyt pewny punkt zespołu z Afryki Północnej, dał się zaskoczyć. Tanzania, prowadzona przez argentyńskiego trenera Miguela Angela Garmondiego walczyła o życie, o trzecie miejsce w grupie. Remis 1:1 dawał historyczny awans, bo jeszcze nigdy wcześniej, podczas trzech poprzednich startów, Tan-

zańczy nie zaszli tak daleko. Zresztą w PNA w 12 grach jeszcze nie wygrali (5 remisów, 7 porażek)!

Tunezja dała się zaskoczyć grającemu żywiołowo rywalowi, który klasyfikowany jest ledwie na 112. miejscu w rankingu FIFA. Na dodatek Tanzania dobrze radziła sobie bez teoretycznie najlepszego piłkarza Mbwany Samatty (były gracz m.in. Aston Villa, Fenerbahce, teraz Le Havre), którego po słabej I połowie trener Garmondi zmienił.

Końcówka meczu? Pewna drugiej miejsca Tunezja grała tak, żeby... nie zrobić krzywdy potrzebującym bezcennego punktu przeciwnikom. Niebo nad Rabatem płakało nad taką grą Orłów Kartaginy (w Maroku pada zresztą od początku zmiany w przegranym 2:3 meczu z Nigerią). Wskoczyło do niego dwóch młodych, ofensywnych zawodników: 21-lletni Ismael Gharbi i 23-lletni Sebastian Tounekti. Obaj dali świetne zmiany w przegranym 2:3 meczu z Nigerią. Pokazywał się przede wszystkim Gharbi, który raz za razem strzelał na bramkę Taifa Stars (został "Man of the Match"). W 14 minucie piłka po jego uderzeniu trafiła w słupek. Trafił w końcówce I połowy z karnego, podyktowanego za faul Ibrahima Hamada na Hazemie Mastourim.

Osimhen nie odpoczywa

W drugim meczu grupy C niespodzianki nie było. Mająca zapewnione już pierwsze miejsce, Nigeria zagrała z drugim z zespołów z Afryki Wschodniej - Ugandą w mocno rezerwowym składzie. W wyjściowym zestawieniu nie pojawili się Ademola Lookman, Alex Iwobi, Wilfred Ndidi, Semi Ajayi, Zaidu Sa-

nusi czy nawet bramkarz Stanley Nwabali. Grał za to niezmordowany Victor Osimhen, który 27. urodziny obchodził we wtorek (wystąpił w I połowie). Gola nie strzelił, trafiali za to jego koledzy: mierzący ponad dwa metry Paul Onuachu oraz Raphael Onyedika. Ten drugi zdobył dwa gole.

W wieczornych spotkaniach w grupie D trwała korespondencyjna walka o strzelone bramki i pierwszą lokatę pomiędzy Senegalem a DR Konga. Ostatecznie grupę wygrywają Senegalczyki, jednak tracą swojego kapitana Kalidou Koulibaly, który po brutalnym faulu na Aiyegun Tosin zobaczył czerwoną kartkę i nie zagra w meczu 1/8 finału.

Gospodarze zbierają siły

W Sylwestra ostatnie mecze grupowe. Dwie godziny przed północą mecze zakończą piłkarze mistrza kontynentu, Wybrzeża Kości Słoniowej, którzy zagrają z jednym z największych rozczarowań turnieju, czyli Gabonem z Pierre-Emerick Aubameyangiem w składzie. W innej parze spotkają się Mozambik z Kamerunem. W grupie F już wiadomo kto awansował, trwa walka o pierwsze miejsce. Trwają też przygotowania do fazy pucharowej, która jeszcze bardziej rozgrzeje kibiców – na razie średnia na mecz to prawie 20 tysięcy!

A gospodarze? Po remisie z Mali piłkarze zostali wygwizdani, co skrytykował wracający do zdrowia Achraf Hakimi. – Potrzebujemy wsparcia, a nie gwizdów. Nie z każdym można wygrać, bo poziom jest wysoki – powiedział kapi-

tan Marokańczyków, który w ostatnim grupowym spotkaniu z Zambią zaliczył na boisku pół godziny.

Jeśli Lwy Atlasu awansują dalej, a tak pewnie będzie, to w grze o czwórkę zagrają z kimś z pary RPA – prawdopodobnie Kamerun. Potem będzie znacznie trudniej, bo marokańska drabinka ma w swojej części – oczywiście potencjalnie – Algierię oraz Nigerię.

Michał Zichlarczyk

GRUPA C

Tanzania – Tunezja 1:1 (0:1)

0:1 – Gharbi (43. karny), 1:1 – Salum (48)

Uganda – Nigeria 1:3 (0:2)

0:1 – Onuachu (28), 0:2 – Onyedika (62), 0:3 – Onyedika (67), 1:3 – Mato (75)

1. Nigeria	3	9	8:4
2. Tunezja	3	4	6:5
3. Tanzania	3	2	3:4
4. Uganda	3	1	3:7

GRUPA D

Benin – Senegal 0:3 (0:1)

0:1 – Seck (38. głowa), 0:2 – Diallo (62), 0:3 – Ch. Ndiaye (90+6. karny)

Botswana – DR Konga 0:3 (0:2)

0:1 – Mbuku (31), 0:2 – Kakuta (41. karny), 0:3 – Kakuta (60)

1. Senegal	3	7	7:1
2. DR Konga	3	7	5:1
3. Benin	3	3	1:3
4. Botswana	3	0	0:7

GRUPA E

środa, Gwinea Równikowa – Algieria, godz. 17.00

Sudan – Burkina Faso, godz. 17.00

1. Algieria	2	6	4:0
2. Burkina Faso	2	3	2:2
3. Sudan	2	3	1:3
4. Gwinea Równikowa	2	0	1:3

GRUPA F

środa, Gabon – WKS, godz. 20.00

Mozambik – Kamerun, godz. 20.00

1. WKS	2	4	2:1
2. Kamerun	2	4	2:1
3. Mozambik	2	3	3:3
4. Gabon	2	0	2:4

Do 1/8 wchodzi zespoły z miejsc 1-2 i cztery z najlepszym bilansem z trzecich miejsc.

Jeżeli zdrowie dopisze, to kto wie...

Rozmowa z **Sylwią Matuszczyk**, obrotową PGE MKS El-Volt Lublin i byłą reprezentantką Polski.

Krótko przed tegorocznymi mistrzostwami świata zrezygnowała pani z występów w reprezentacji. Co panią skłoniło do podjęcia tej decyzji?

- Dojrzała we mnie od jakiegoś czasu, bo 33 lata na karku już mam... Serce nadal chciało być w kadrze narodowej, ale rozsądek podpowiadał coś innego. Kontuzje mnie nie oszczędzały, ale za każdym razem przyjeżdżałam na zgrupowanie i walczyłam dla Polski. Euro 2024 kosztowało mnie jednak bardzo dużo pod względem fizycznym i myślę, że właśnie wtedy zapadła ta decyzja. Teraz przyszła pora na młodsze zawodniczki. Mają czas, żeby się pokazać.

W kwietniowym dwumeczu eliminacyjnym z Macedonią Północną jeszcze pani zagrała, stąd zdziwienie pani decyzją było i jest nadal wielkie...

- Powiedziałam trenerowi Arne Senstadowi, że jeśli będę potrzebna, to jeszcze pomogę zespołowi, stąd mój występ w eliminacjach. Po tych spotkaniach przekazałam jednak selekcjonerowi, że to najwyższy czas, żeby podziękować. Gra w reprezentacji zawsze była dla mnie spełnieniem marzeń, dumą i wielką odpowiedzialnością. Ten rozdział się jednak dla mnie skończył, choć wspomnienia na zawsze zostaną w sercu.

Tomasz Gębala też się odżegnywał. Rezygnację z gry w reprezentacji również tłumaczył względami zdrowotnymi. Długo, bo dwa lata się bronił i... wrócił, a niedawno został powołany na stycziowe mistrzostwa Europy.

- Na razie nie przewiduję powrotu. Jeżeli jednak faktycznie zdrowie dopisze i nic mi nie będzie dokuczało, to kto wie... Na ten moment tak postanowiłam.

To może napiszemy petycję do Arne Senstada, by energiczniej zaczął przekonywać do zmiany decyzji będącą od wielu lat w ścisłym gronie obrotowych Orlen Superligi?

- Ha, ha, ha! Może jednak na razie lepiej nie pisać. Grajmy dobrze w klubie, a jak w klubie będzie dobrze, to wtedy będzie można prześleć ewentualny powrót do reprezentacji.



Nie można wykluczyć, że Sylwia Matuszczyk jeszcze założy biało-czerwoną koszulkę.

W niedawno zakończonych mistrzostwach świata Białe-czerwone zajęły 11. miejsce, czyli na miarę aktualnych możliwości. Mocna krytyka dotknęła jednak zawodniczek z pani pozycji: Nikołą Głębocką, Natalię Pankowską i Aleksandrę Olek. Czy obrotowe faktycznie były najstarszym ogniwem?

- Te dziewczyny potrzebują spokojnej pracy, żeby dobrze się wprowadzić do reprezentacji. W ostatnich latach praktycznie ja grałam w ataku, więc one potrzebują czasu, żeby zgrać się z rozgrywkami, poczuć je, bo tak naprawdę każda z nich inaczej atakuje, ma inne tempo rozgrywania piłki. Mistrzostw świata na pewno były dobrym doświadczeniem, które - jestem o tym przekonana - zapoczątkuje w przyszłorocznych mistrzostwach Europy, które odbędą się w Polsce.

Miedzy innymi w Katowicach, z finałami w Spodku!

- No właśnie. Mam nadzieję, że dziewczyny pokażą, że potrafią grać w piłkę ręczną, bo... tak po prostu jest. Byłam trochę w tej kadrze, stąd wiem, że jeżeli będziemy realizowały założenia taktyczne i robiły to, na co się umawiamy przed meczem, to naprawdę możemy bardzo dobrze grać. Na razie jednak przytrafiają nam się przestoje i to, w konfronta-

cjach z najlepszymi europejskimi reprezentacjami, w końcowym rozrachunku nas karze. Mocno jednak trzymam kciuki za dziewczynami i mam nadzieję, że pokażą w Polsce, że nasza piłka ręczna kobiet idzie do góry.

Wierzy pani, że jesteśmy w stanie wskoczyć do czołowej ósemki Europy i świata? Niby brakuje nam niewiele, ale na razie, jak udowodniły ostatnie mistrzostwa Europy i świata, ta poprzeczka wydaje się wisieć na wysokości nie do przeskokowania dla Białe-czerwonych.

- Jeżeli wszystkie dziewczyny włączą się w to, co mówię i będą stanowić scaloną drużynę, to jestem przekonana, że wreszcie będą w stanie przebić się do ćwierćfinału. Warunek - wszystkie muszą zagrać na swoim najwyższym poziomie. Nie możemy schodzić z pewnego „levelu”, więc podsumowując - musimy patrzeć na tylko siebie i zdecydowanie szybciej robić postępy, bo Europa po prostu nam ucieka.

No to jeszcze zdradźmy, czego możemy się spodziewać się w nadchodzącym roku po siódemce z Lublina?

- My, zawodniczki, cały czas mówimy, że walczyć o złoto. Ciężko pracujemy, żeby dogonić Zagłębie Lu-

■ Sylwia Matuszczyk jest wychowanką MTS-u Żory, potem reprezentowała AZS Koszalin, Start Elbląg, MKS Lublin, z którym trzykrotnie sięgnęła po mistrzostwo Polski, Puchar Polski i Challenge Cup, oraz JKS Jarosław. W 2024 roku ponownie dołączyła do zespołu z Lublina i występuje w nim do tej pory. Reprezentowała Polskę w pięciu imprezach: mistrzostwach Europy w 2018, 2022 i 2024 roku oraz mistrzostwach świata w 2021 i 2023 roku. Łącznie rozegrała 69 meczów i zdobyła 110 bramek. W kadrze zadebiutowała 26 marca 2014 roku w towarzyskim starciu z Portugalią. Ostatni mecz w narodowych barwach rozegrała w kwietniu 2025 roku w eliminacjach do mistrzostw świata 2025 przeciwko Macedonii Północnej.

bin, które troszeczkę nam uciekło. Ale jeszcze jest wiele spotkań przed nami. Jeżeli awansujemy do szóstki walczącej o medale, a na ten moment na to wygląda, to rozegramy jeszcze trzy spotkania z Zagłębiem.

Trzy mecze, by mocno postawić się mistrzyniom Polski?

- Tylko że - tak jak mówiłam o reprezentacji - musimy patrzeć na siebie i siebie rozliczać z tego, co robimy, bo nawet w ostatnim, pewnie wygranym spotkaniu z Sośnicą w Gliwicach, popełniłyśmy za dużo prostych błędów. Takie pomyłki z Zagłębiem będą skutkowały kontrami rywali, a na to nie możemy sobie pozwolić, jeżeli chcemy myśleć o zwycięstwach z Miedziowymi, a w dalszej perspektywie - o ich detronizacji. Mam nadzieję, że stworzymy superkolektyw i w tym sezonie mistrzostwo Polski w końcu wróci do Lublina.

**Rozmawiał
Zbigniew Ciećciała**

Piłkarka i tyczkarz

Aitana Bonmati i Armand Duplantis wygrali tegoroczny plebiscyt Światowego Stowarzyszenia Prasy Sportowej.

PLEBISCYT AIPS

Duplantis - niedawny triumfator ankiety PAP w głosowaniu agencji prasowych z całej Europy - powtórzył sukces sprzed roku. Wówczas 10. lokata przypadła Idzie Świątek, która w tej edycji była na liście zgłoszonych razem z mistrzynią świata we wspinaczce w konkurencji sprintu, Aleksandrą Mirosław; obie znalazły się jednak poza czołową dziesiątką. Bonmati, która kilka tygodni wcześniej odebrała po raz trzeci z rzędu nagrodę dla najlepszej piłkarki roku na świecie w plebiscycie FIFA, zgromadziła 824 pkt i zdystansowała o 371 punktów kenijską biegaczkę Beatrice Chebet, mistrzynię świata na 5000 i 10 000 m, oraz o 378 liderkę światowego rankingu tenisistek, Białorusinkę Arynę Sabalenkę. Duplantis, mistrz świata i rekordzista globu, z dorobkiem 1182 pkt wyprzedził triumfatora wielkoszlemowych turniejów tenisowych w Paryżu i Nowym Jorku, Hiszpana Carlosa Alcaraza o 398 punktów oraz

o 469 francuskiego piłkarza grającego w Paris Saint-Germain, Ousmane Dembele. Czołową dziesiątkę mężczyzn zdominowali piłkarze. Poza Dembele lokaty w niej zajęli: 4. Achraf Hakimi (Maroko), 6. Lamine Yamal (Hiszpania), 7. Kylian Mbappe (Francja) i 10. Mohamed Salah (Egipt). Wśród kobiet, poza Chebet, w czołówce uplasowały się jeszcze cztery przedstawicielki lekkiej atletyki: Sydney Lau-ghlin-Levrone (USA) znalazła się na 4. miejscu, Femke Bol (Holandia) na 5., Faith Kipyegon (Kenia) na 8. oraz Valarie Allman (USA) na 10. Za najlepsze drużyny kończącego się roku uznano trzy piłkarskie: Paris Saint-Germain - 871 pkt, Barcelonę - 763 oraz reprezentację Maroka U-20 - 487. Tytułem najlepiej zorganizowanej imprezy dziennikarzy obdarzyli piłkarskie mistrzostwa świata FIFA drużyn klubowych - 1159 przed finalem Ligi Mistrzów - 1106 oraz lekkoatletycznymi mistrzostwami świata w Tokio - 867 pkt. W tegorocznym głosowaniu wzięta udział rekordowa liczba 836 dziennikarzy prasy, radia, telewizji, mediów elektronicznych oraz fotoreporterów ze 121 krajów. Przed rokiem głosy oddało 518 dziennikarzy - członków AIPS - ze 111 krajów.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

**ŚRODA
31 GRUDNIA**

TVP 1
20.10 Magazyn sportowy
TVP 3
16.25, 19.00, 21.50 Przegląd wydarzeń regionalnych
POLSAT
19.20 Magazyn sportowy
TVN
19.30 Wiadomości sportowe
TVP SPORT
14.25 Biegi narciarskie: Tour de Ski w Toblach, bieg na 5 km stylem dowolnym kobiet (na żywo)
EUROSPORT 1
11.15 Biegi narciarskie: Tour de Ski w Toblach, bieg na 5 km stylem dowolnym mężczyzn; 14.30 bieg na 5 km stylem dowolnym kobiet; 16.00 Skoki narciarskie: Turniej Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen, kwalifikacje (na żywo)
POLSAT SPORT 1
12.00 Hokej: Puchar Spenglera, finał (na żywo)
POLSAT SPORT 2
16.20 Pn: Liga saudyjska, Neom - Al-Itthad, Al-Kholood - Al-Hilal (na żywo)

**CZWARTEK
1 STYCZNIA**

TVP 1
20.10 Magazyn sportowy
TVP 3
16.20, 19.19, 21.50 Przegląd wydarzeń regionalnych
POLSAT
19.20 Magazyn sportowy
TVN
14.00 Skoki narciarskie: Turniej Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen (na żywo); 19.30 Wiadomości sportowe
TVP SPORT
12.25 Biegi narciarskie: Tour de Ski w Toblach, bieg na 20 km stylem klasycznym

kobiet (na żywo); 13.45, 20.00 Dart: MŚ w Londynie, ćwierćfinał (na żywo)
EUROSPORT 1
10.15 Biegi narciarskie: Tour de Ski w Toblach, bieg na 20 km stylem klasycznym mężczyzn; 12.15 bieg na 20 km stylem klasycznym kobiet; 13.40, 16.00 Skoki narciarskie: Turniej Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen, studio (na żywo)
EUROSPORT 2
13.40 Kolarstwo przełajowe: Trophy Baal, wyścig kobiet, 14.55 wyścig mężczyzn (na żywo)
POLSAT SPORT 1
17.30 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Tasmix Rosiek Stal Ostrów Wlkp. - Energa Trefl Sopot (na żywo)
POLSAT SPORT 4
17.30 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Tasmix Rosiek Stal Ostrów Wlkp. - Energa Trefl Sopot (na żywo)
CANAL +EXTRA 1
18.25 Pn: Liga angielska, Liverpool - Leeds United, 20.55 Sunderland - Manchester City (na żywo)
CANAL +EXTRA 2
18.25 Pn: Liga angielska, Crystal Palace - Fulham, 20.55 Brentford - Tottenham Hotspur (na żywo)

Sport

Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny
Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania
Dariusz LEŚNIKOWSKI
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

TAURON LIGA

■ EcoHarpoon Noweł LOS Nowy Dwór Mazowiecki - #VolleyWrocław 0:3 (17:25, 15:25, 21:25)

NOWY DWÓR MAZ.: Garrison (5), Zakościelna (1), Ejsmont (1) Reiter (12), Kowalczyk (7), Orzyłowska (6), Bodaśńska (libero) oraz Budnik (10), Sklepik (2), Piszcz, Stachowiak, Woźny (1). Trener Bartosz KUJAWSKI.

WROCLAW: Łazowska (5), Frenkiewicz (12), Kaczmarzyk (60, Dapić (10), Gancarz (15), Drózd (10), Licenko (libero) oraz Lemire. Trener Wojciech KURCZYŃSKI.

Sędziowali: Natalia Noga i Filip Kuchna (oboje Gdańsk). **Widzów** 590.

Przebieg meczu

I: 9:10, 12:15, 13:20, 17:25.

II: 4:10, 7:15, 14:20, 15:25.

III: 10:9, 13:15, 17:20, 21:25.

Bohaterka - Joanna GANCARZ.

1. Rzeszów	12	34	11/1	35:7
2. Budowlani	12	30	10/2	32:11
3. Opole	11	27	9/2	28:9
4. ŁKS	11	21	7/4	26:19
5. Bielsko-Biała	12	20	7/5	24:23
6. Bydgoszcz	12	17	6/6	21:23
7. Police	11	15	5/6	21:22
8. Radom	12	14	5/7	21:24
9. Mielec	12	11	4/8	17:30
10. Wrocław	12	11	3/9	14:27
11. Mogilno	11	10	3/8	17:27
12. Nowy Dwór Maz.	12	0	0/12	2:36

1-8. play off, 12. spadek

Następne mecze: 6.01.2026: Mogilno - Police; 9.01.: PGE Budowlani - Mogilno; 10.01.: Bielsko-Biała - Mielec, Wrocław - Radom, Police - Nowy Dwór Maz., Bydgoszcz - ŁKS; 11.01.: Opole - Rzeszów.

TAURON PUCHAR POLSKI

Do trzech razy sztuka

Zawiercianie poza turniejem finałowym! Drogę zamknęła im Resovia, rewanżując się za poprzednie porażki.

Starcie Alurona CMC Warty z Asseco Resovią określono hitem ćwierćfinałów. Nic dziwnego, bo obie drużyny celują w najwyższe zaszczyty, a tymczasem jedna z nich miała się pożegnać z marzeniami o wywalczeniu Pucharu Polski już na etapie 1/4 finału. Był to też już trzeci mecz obu zespołów w tym sezonie. Poprzednie wygrał

Aluron CMC Warta, w lidze 3:0 i w Lidze Mistrzów 3:1. Spotkanie przyniosło mnóstwo emocji. Pełne było zwrotów akcji, ciekawych, długich wymian i dramatycznych końcówek. Górą byli goście, ale jedynie w pierwszym secie wygrali w miarę pewnie. Dwa pozostałe kończyły się na przewagi i w obu szansę na sukces mieli zawiercianie. W drugim prowadzili już 21:17, mieli też piłkę setową, tak samo jak w trzecim, ale nie potrafili zadać decydującego ciosu. Rzeszowianie byli konkretniejsi, bo Klemen Cebulj, Karol Butryn i Artur Szalpak potrafili kończyć decydujące ataki.

(mic)

■ **Aluron CMC Warta Zawiercie - Asseco Resovia 0:3 (22:25, 25:27, 25:27). Awans Asseco Resovii.**

ZAWIERCIE: Tavares Rodrigues (2), Kwolek (18), Bieniek (10), Botądz (3), Russell (11), Gładyr (4), Popiwczak (libero) oraz Ensing (9), Nowosielski, Zniszczoł, Łaba. Trener Michał WNIARSKI.

RZESZÓW: Janusz (2), Cebulj (20), Demianenko (5), Butryn (15), Szalpak (17), Poręba (5), Zatorski (libero) oraz Potera, Nowak (1), Shoji. Trener Massimo BOTTI.

Sędziowali: Magdalena Niewiarowska (Ludwinowo Zegrzyński) i Tomasz Janik (Warszawa). **Widzów** 1500.

Przebieg meczu

I: 9:10, 13:15, 18:20, 22:25.

II: 10:7, 15:9, 20:17, 24:25, 25:27.

III: 10:9, 15:13, 19:20, 24:25, 25:27.

Bohater - Klemen CEBULJ.

Gwiazdy na dłużej

Szefowie mistrza Polski nie próżnują i prawie zbudowali skład na nowy sezon. Zespół ma się bić o najwyższe cele.

BOGDANKA LUK LUBLIN

Choć za nami dopiero pierwsza runda fazy zasadniczej, na rynku transferowym wrze jak w ulu. Co chwila pojawiają się informacje o tym kto i gdzie będzie grał w następnych rozgrywkach. Nie ominęły one też zawodników mistrza Polski. Jego szefowie musieli działać szybko, bo ich gwiazdy wzbudzały spore zainteresowanie innych klubów. Aleks Grozdanow miał propozycję z Asseco Resovii, o czym zresztą sam mówił w bułgarskich mediach, zastanawiano się czy Wilfredo Leon przeniesie się do PGE Projektu Warszawa lub przyjmie intratną ofertę z Turcji i gdzie będą grali Kewin Sasak oraz Marcin Komenda.

Na początku grudnia lubelski klub przeciął spekulacje. Oficjalnie poinformował o przedłużeniu umów

z Sasakiem, Komendą oraz Leonem, a potem już poszło. Kolejni zawodnicy, którzy postanowili zostać w Lublinie, to: Grozdanow, Daenan Gyimah i na razie jako ostatni Mateusz Malinowski. Dla tego ostatniego będzie to już piąty sezon w barwach Bogdanki LUK. 33-latek zwykle jest zmiennikiem Sasaka, dżokerem, który wchodzi, gdy drużynie nie idzie, lub gdy potrzebne jest przełamanie w polu serwisowym. Ze swoich zadań wywiązuje się wybornie. Nieraz odwracał losy spotkań. Jego atutem jest też doświadczenie. W PlusLidze występuje już od 2011 roku. Wtedy został zawodnikiem Jastrzębskiego Węgla. Nie zdołał jednak przebić się do pierwszego składu i postanowił szukać możliwości grania. W kolejnych latach bronił barw Cuprum Lubin, Espadonu Szczecin, Aluronu CMC Warty Zawiercie,

by w 2022 roku zakotwiczyć w Bogdance LUK.

Gyimah natomiast do Lublina przyszedł przed bieżącymi rozgrywkami z francuskiego Arago de Sete. Wcześniej grał w fińskim Hurrakaani Loimaa, z którym w 2024 roku wywalczył mistrzostwo Finlandii. Warto dodać, że Kanadyjczyk zamierza ubiegać się o polskie obywatelstwo. - W Polsce mieszkali moi pradziadkowie, dziadkowie urodzili się już w Kanadzie. Pradziadkowie byli Żydami. Wyjechali z Polski przed II wojną światową. Nie wiem o nich szczególnie wiele. Chciałbym poznać ich historię - wyjaśnił Daenan

Gyimah, który oprócz siatkówki zajmuje się też muzyką. W 2016 roku nagrał dwie piosenki pt. „Zombie” i „All For You”. W połowie listopada 2024 roku wydał album pt. „Petty boy” i podpisał kontrakt z dwiema wytwórniami.

W Lublinie nie zamierzają poprzestać tylko na przedłużaniu kontraktów. Po sezonie klub ma opuścić Thales Hoss. Następcą brazylijskiego libero, jak donosi Jakub Balcerzak, znakomicie zorientowany w siatkarskich transferach, ma być Tomohiro Ogawa. Reprezentant Japonii aktualnie występuje w ojczyźnie, w Suntory Sunbirds. Byłby

kolejnym libero z Kraju Kwitnącej Wiśni w PlusLidze. W poprzednich latach grali w niej Taichiro Koga (Aluron CMC Warta Zawiercie) i Sho Takahashi (Norwid Częstochowa), a w bieżącym sezonie barw InPost ChKS Chełm broni Kazuma Sonae. Wszyscy zbierali pozytywne oceny.

Ogawa prawdopodobnie nie będzie jedynym nowym graczem w Bogdance LUK. Wzmocnienia wymaga pozycja przyjmującego. Absolutnym nr. 1 jest na niej Wilfredo Leon. Jego partnerami są albo Kanadyjczyk Jackson Young, albo Francuz Hilir Henno. Obaj jednak grają w kratkę, a myśląc o zawojowaniu PlusLigi i Ligi Mistrzów drużyna potrzebuje zawodnika, który dorówna klasą Leonowi.

(mic)



Lubelska drużyna w kolejnym sezonie nadal będzie kroczyć pod wodzą Wilfredo Leona.

Pod batutą Leona

Bogdanka LUK Lublin po raz pierwszy zagra w turnieju finałowym Pucharu Polski.

Zespół z Lublina przebojem wszedł do krajowej czołówki. Ma już w kolekcji Puchar Challenge, mistrzostwo Polski i Superpuchar. Do kompletu brakuje mu jedynie krajowego pucharu. Teraz będzie miał okazję go wywalczyć, bo awansował do Final Four.

Droga do niego wiodła przez Nysę i starcie z pierwszoligową Stalą. Lublinianie byli zdecydowanymi faworytami. Gospodarze pokazali jednak, że nikt nie jest im straszny, nawet najlepsza polska drużyna. Podjęli rękawicę. Od pierwszej piłki grali bardzo ambitnie. Dopingowani przez licznych fanów toczy-

li twardy bój. Grę przyjeźdnych ciągnął niezawodny Wilfredo Leon. Kompletnie niewidoczni byli natomiast Kewin Sasak oraz Jackson Young. Tego pierwszego już w pierwszej partii zmienił Hilir Henno i spisywał się zdecydowanie lepiej. Obok Leona był najlepiej punktującym graczem Bogdanki LUK.

Po stronie gospodarzy popisową partię rozgrywali Kamil Kosiba, Rafał Putkowski i Wiktor Musiał. Ten drugi miał aż 67-procentową skuteczność w ataku, kończąc 6 z 9 piłek, do tego dołożył 6 bloków, deklasując w tym elemencie Aleksa Grozdanowa, najlepszego blokującego PlusLigi.

Dobra gra gospodarzy, ich poświęcenie i wola walki wystarczyły jedynie do urwania faworytom seta. W pozostałych zabrakło im zimnej krwi i wyrachowa-

nia, bo do 20 punktu szło im całkiem dobrze. Gdy ważyły się losy setów, ciężar gry brał na siebie Leon i kończył sprawę.

(mic)

■ **Stal Nysa - Bogdanka LUK Lublin 1:3 (22:25, 25:16, 17:25, 20:25). Awans Bogdanki LUK.**

NYSA: Pawlun, Kosiba (18), Putkowski (12), Musiał (13), Schulz (9), Mordyl (3), Kowalski (libero) oraz Kramczyński (4), Mouchlias (1), Depowski, Olejniczak (libero), Rajsner, Pacholski (1), Szczurek. Trener Mark LEBEDEV.

LUBLIN: Komenda, Leon (23), Grozdanow (5), Sasak (4), Young (4), McCarthy (7), Hoss (libero) oraz Malinowski, Henno (15), Gyimah (4). Trener Stephane ANTIGA.

Sędziowali: Piotr Król (Katowice) i Marek Krupski (Bielsko-Biała). **Widzów** 2500.

Przebieg meczu

I: 10:9, 12:15, 18:20, 22:25.

II: 10:8, 15:11, 20:14, 25:16.

III: 6:10, 10:15, 13:20, 17:25.

IV: 10:9, 15:14, 20:19, 20:25.

Bohater - Wilfredo LEON.



Rzeszowskie ręce tym razem miały w sobie więcej siły i precyzji, niż zawierciańskie.

**Thriller
w Rumunii****BKT EURO CUP**

Niesamowite emocje w BT Arena w rumuńskim Kluż-Napoka. 13 sekund przed końcem, po trafieniu Darona Russella, na tablicy wyników był remis 92:92. Trener Ainars Bagatskis poprosił o przerwę na żądanie, ale nic nie poszło zgodnie z planem. Najpierw faulowany Noah Kirkwood spudłował dwa rzuty osobiste, a w odpowiedzi gospodarze przeprowadzili błyskawiczny kontratak, który wsadłem zakończył Duszán Miletić. To były koszykarz... wrocławskiego Śląska.

- To nie był nasz najlepszy mecz, jeśli chodzi o skuteczność, ale najważniejsze, że wygraliśmy - komentował Russell, który był najlepszym graczem spotkania. Amerykanin zdobył 30 punktów, miał też 7 zbiórek i 7 asyst. Po stronie Śląska wyróżnili się Stefan Djordjević (16 pkt, 9 zbiórek) oraz Issuf Sanon (17 pkt, 4 zbiórki, 4 asysty). Warto dodać, że do Rumunii Śląsk poleciał bez swojego lidera. Jak poinformowano, Kadre Gray decyzją sztabu trenerskiego pozostał w Polsce. Z 4 zwycięstwami i 8 porażkami Śląsk spadł na 9. miejsce w grupie. W następnej kolejce (7 stycznia) wrocławianie podejmą Hapoel Jerozolima.

■ U-BT Cluj-Napoca - Śląsk Wrocław 94:92 (22:17, 27:34, 21:23, 24:18)
WROCLAW: Wiśniewski 1, Kirkwood 16 (1x3), Czerniewicz 5 (1x3), Coleman-Jones 1, Djordjević 16 - Nunez 3, Kulikowski 6 (1x3), Urbaniak 6, Penava 13 (1x3), Sanon 17 (2x3), Niziot 8. Trener Ainars BAGATSKIS.

(p)

Jedna osiemnastolatka to za mało

W Poznaniu w bitwie o czwarte miejsce lepsze okazały się miejscowe akademickie, które pewnie pokonały Zagłębie.

ORLEN BASKET LIGA KOBIEĆ

Oba zespoły sąsiadują w tabeli, przed meczem miały identyczny bilans (7 zwycięstw, 5 porażek). W pierwszej rundzie przed blisko trzema miesiącami w Sosnowcu lepsze były poznanianki. Tym razem AZS znów zaczął lepiej, pierwsza kwarta padła łupem gospodyń, głównie dzięki świetnej grze Jovany Popović. W drugiej kwarcie mecz się wyrównał, sosnowiczanki odrobiły większość strat i w połowie przewaga miejscowych wynosiła ledwie oczko (38:37). W czwartej kwarcie poznanianki odskoczyły na 10 punktów (71:61) i już do końca nie oddały prowadzenia. Najlepszą zawodniczką spotkania była Serbka Popović, która zdobyła aż 27 punktów, miała też 9 zbiórek. W drużynie z Sosnowca tym razem błyszczała Maria Burliga. Osiemnastolatka zanotowała 13 punktów i 9 zbiórek, nie zdołała jednak odwrócić losów rywalizacji.

Warto wspomnieć, że Kamila Borkowska, która kilka dni temu zakończyła kontrakt w greckim Athinaikosie, podpisała własnie umowę z AZS UMCS Lublin. - Bardzo się cieszę. Myślę, że już teraz z zespołem łączy mnie ambicja, żeby walczyć o najwyższe cele. Dobrze znam się już z niektórymi dziewczynami, ważna też była dla mnie



Zagłębie przegrało po raz drugi z rzędu. Tym razem lepsze okazały się poznanianki.

możliwość pracy z zaufanym sztabem trenerskim - powiedziała klubowym mediom reprezentantka Polski. O Borkowską starało się kilka klubów, w tym sosnowieckie Zagłębie, gdzie grała w ubiegłym sezonie.

■ Enea AZS Politechnika Poznań - MB Zagłębie Sosnowiec 83:70 (23:18, 15:19, 21:16, 24:17)
POZNAN: Carter 17, Pszczolarska 8 (1x3), Brown 4, Popović 27 (4x3), Brzustowska - Kośla 7, Hank 5, Piasecka 6 (2x3), Tomaszewicz, Haegenbarth 9. Trener Wojciech SZAWARSKI.
SOSNOWIEC: Taylor 22 (4x3), Kuczyńska 2, Jackowska 10 (2x3), Reese 6, Burliga 13 - Niedzwiedzka, Pyka 5 (1x3),

Kurach 9 (1x3), Kłobukowska 3 (1x3), Micek. Trener Piotr GLINIĄK.

■ KSSSE Enea AJP Gorzów Wielkopolski - Śląsk Wrocław 77:66 (15:16, 28:16, 24:15, 10:19)
GORZÓW: Szymkiewicz 9, Mikulasikova 13, Gertchen 17 (4x3), Hurt 23, Stasiak 11 (3x3) - Osborne 4, Kłoska. Trener Dariusz MACIEJEWSKI.
WROCLAW: Davis 8, Kraker 2, Strautmane 15 (1x3), Fiszler 3 (1x3), Mielnicka 4 - Ziemborska 17 (2x3), Vihmane 8, Kulińska 9, Jeziorna. Trener Arkadiusz RUSIN.
■ VBW Gdynia - Energa Toruń 76:82 (24:27, 18:30, 13:15, 21:10)
GDYNIA: Hobby 21, Jakubiuk 20, Wrzesiński 20 (2x3), Ulan 10 (2x3), K. Maj 2 - Piestrzyńska 3 (1x3), Zalewska,

Wysocka. Trener Martins ZIBARTS.
TORUŃ: Sagerer 14 (2x3), Johnson 22, Tarkovicova 20 (4x3), Batura 14 (2x3), Preihs 2 - Kapinga Maweja 8, Śmiałek, Grządziela, Weber, Ustowska. Trener Elmedin OMANIĆ.

■ Contimax MOSIR Bochnia - Isands Wicher Jelenia Góra 117:74 (26:17, 35:20, 26:12, 30:25)
BOCHNIA: Wdowiuk 6, Walczak 12, Jones 15 (1x3), Moore 18, Jarzab 12 (1x3) - Ossowska, Karakasidou 20 (1x3), Marcinkowska 19 (4x3), Bukowczan 9 (1x3), Gołas 2, Zajac 4. Trener Artur WŁODARCZYK.
JELENIA GÓRA: Kosalewicz 23 (1x3), Domka 14 (2x3), Stępień 11 (2x3), Warśńska 5, Kurkowiak 6 - Pawlukiewicz 2, Prokop 3 (1x3), Pilichowska 5, Bycz-

kowska 3 (1x3), Dżochowska 2. Trener Rafał SROKA.

■ Polonia Warszawa - Wisła Kraków 70:66 (19:13, 20:17, 16:20, 15:16)

WARSZAWA: Wesółowska 8 (1x3), Vitulova 18 (2x3), Sosnowska 7 (1x3), Watson 12 (2x3), Mastowska 17 (3x3) - Rogozińska, Davenport 4, Kusiak, Wiklak 4, Barańska. Trener Jelena SKEROVIĆ.
KRAKÓW: J. Williams 6, Jasiulewicz 2, T. Williams 21, Niemojewska 4, Cykowska 1 - Stasiuk 6 (1x3), Vujacic 15 (2x3), Gilmajster 11 (3x3). Trener JORDI ARAGONES.

■ Artego Bydgoszcz - AZS UMCS Lublin 74:93 (21:24, 17:23, 18:19, 18:27)

BYDGOSZCZ: Sobiech 9 (3x3), Pawłowska 10 (2x3), Jones 18 (2x3), Michałek 6, Maława 4 - Ketter 6, Pawlikowska 8 (2x3), Perzyna 2, Danielewicz 9 (1x3), Uziatto 2. Trener Piotr KULPEKSA.
LUBLIN: Wojtala 17 (2x3), Stanković 7, Slocum 21 (3x3), Gatling 16 (1x3), Wnorowska 6 - Ryan 19 (3x3), Ullmann 5 (1x3), Adamczuk 2, Pogorzelska. Trener Karol KOWALEWSKI.

1. Gorzów	13	24	1084:864
2. Lublin	13	24	1112:935
3. Wrocław	13	22	1076:882
4. Poznań	13	21	991:962
5. Sosnowiec	13	20	1082:995
6. Toruń	13	20	924:898
7. Gdynia	13	19	1139:1064
8. Kraków	13	19	912:935
9. Bydgoszcz	13	18	945:1057
10. Bochnia	13	17	1041:1146
11. Warszawa	13	17	907:1056
12. Jelenia G.	13	13	799:1218

Najbliższe mecze: Jelenia Góra - Gorzów, Sosnowiec - Warszawa, Bydgoszcz - Poznań, Wrocław - Gdynia, Toruń - Lublin (wszystkie 2.01.).

(pp)

Nadepnięty przez... kolegę

Na miesiąc wypada z gry as Denver Nuggets, Serb Nikola Jokić.

NBA

San Antonio przegrał drugi mecz z rzędu. Ostrogi gościły niżej notowanych Kawalerzystów. Przez trzy kwarty wszystko szło po myśli gospodarzy, którzy są wiceliderami Konferencji Zachodniej. Wydarzenia zmieniły obrót w ostatnich 12 minutach, gdy goście całkowicie zdominowali mecz i wygrali tę kwartkę aż 37:23. Aż siedmiu graczy z Cleveland zanotowało dwucyfrowy dorobek punktowy, Jarrett Allen (27 pkt, 10 zbiórek)

i Darius Garland (15 punktów, 11 asyst) zaliczyli double-double. W zespole Ostróg Victor Wembanyama odpowiedział podobnym - 26 punktów, 14 zbiórek. Po raz kolejny Jeremy Sochan cały mecz przesiedział na ławce. To druga z rzędu porażka Ostróg, które wcześniej wygrały 8 kolejnych spotkań.

Bez Jokicia ani rusz!

W Miami przegrali Denver Nuggets, w dodatku stracili Nikolę Jokicia. Serb kuśtykając opuścił boisko pod koniec drugiej kwarty. Po wtorkowych badaniach szacuje się, że Jokić będzie pauzował około 4 tygodni. Co się stało? W podkoszowym zamieszaniu

Jokiciowi na nogę przypadkowo nadepnął kolega z drużyny, środkowy natychmiast padł na parkiet i złapał się za kolano. - Każda kontuzja jest dla zespołu bolesna, zwłaszcza kogoś tak wyjątkowego jak on - mówił po spotkaniu David Adelman, trener Bryłek. Po dwóch kwartach na tablicy wyników był remis (63:63), ale druga połowa już bez Jokicia skończyła się dla gości katastrofą (60:84). Nuggets przegrali drugie kolejne spotkanie. Z bilansem 22 zwycięstw i 10 porażek zajmują 3. miejsce w Konferencji Zachodniej.

Łokcie i pięści

Liga wydała oświadczenie po bójkę, do jakiej

doszło w niedawnym spotkaniu między New Orleans Pelicans i Phoenix Suns. Głównymi bohaterami starcia byli Jose Alvarado (Pelicans) oraz Mark Williams (Suns). Ten duet wdał się w bójkę, w ruch poszły zarówno łokcie, jak i pięści. Alvarado mierzył ledwie 183 centymetry, podczas gdy Williams to środkowy o wzroście 216 centymetrów! W trakcie walki różnica wzrostu nie stanowiła dla małego Portorykańczyka większego problemu i to on wydawał się bardziej agresywny. Podobnie widziały sprawę władze ligi, które grają Pelicans ukarały surowiej. Otrzyma dwa mecze zawieszenia bez możliwości



Nie jest jasne jak poważny jest uraz Nikolę Jokicia.

zapłaty, a Williams pauzować musi w jednym spotkaniu.

Jak szybko obliczono Alvarado stracił na tym 62, a jego rywal - 36 tysięcy dolarów. Pelikany (bez Alvarado) przegrały u siebie z Knicks, a Słońca (bez Williamsa) pokonały na wyjeździe Waszyngton.

Brooklyn - Golden State 107:120, Charlotte - Milwaukee 113:123, Washington - Phoenix 101:115, Miami - Denver 147:123, Toronto - Orlando 107:106, Chicago - Minnesota 101:136, Houston - Indiana 126:119, New Orleans - New York 125:130, Oklahoma City - Atlanta 140:129, San Antonio - Cleveland 101:113, Portland - Dallas 125:122.

(p)

Bez paniki

NHL

Obrońcy Pucharu Stanleya, Florida Panthers, ciągle grają w „kratkę” i z trzech ostatnich meczów przegrali dwa. W końcu przerwali tę serię i na własnym lodzie wygrali z Washington Capitals 5:3 (2:2, 0:0, 3:1), jednak wcale łatwo nie było. - Tylko bez paniki, bo przecież raz wygrywamy, raz przegrywamy, a do końca sezonu regularnego jeszcze sporo czasu – mówił trener zwycięzców, Paul Maurice. Trudno z tymi słowami się nie zgodzić, ale warto zwrócić uwagę, że stawka w Konferencji Wschodniej jest wyrównana. Pantery z 44 pkt zajmują 8. miejsce, gwarantowane grą w play offie, natomiast Stoleczni są tuż przed nimi z 46 „oczkami”. Prowadzi Carolina z 51 pkt, ale liga nie przekroczyła jeszcze półmetka tej części sezonu.

Największe powody do zadowolenia w drużynie zwycięzców miał Aaron Ekbal, który w 54 min zdobył swojego drugiego gola w sezonie. 29-letni kanadyjski obrońca pierwsze trafienie zaliczył w październiku, a potem 34 mecze milczał. To był kluczowy moment tej potyczki, gdy gospodarze złamali opór rywali.

Nim to jednak nastąpiło, trwała uporczywa walka w pierwszej odsonie. Siergieja Bobrowskiego (22 obrony) dwa razy pokonał Tom Wilson (4 i 20 min, w przewadze), a potem jeszcze asystował przy trafieniu Dylana Strome'a (44). Skrzydłowy 2. formacji Stolecznych w punktacji kanadyjskiej zgromadził 37 pkt (19 goli+18 asyst) i jest liderem swojej drużyny.

Liderzy Panter solidnie zapracowali na komplet punktów. Sam Reinhart również dwa razy znalazł się na liście strzelców (13, w przewadze i 60, do pustej) i miał współudział przy bramce wspomnianego Ekbalda. Ponadto Logan Thompson pokonał Anton Lundell (4) oraz Brad Marchand (47). Ten ostatni jest najlepiej punktującym w drużynie Panter i ma 44 pkt (22+22), zaś Reinhart ustępuje mu jedynie o dwa „oczka” 42 (21+21).

A hokeiści Colorado Avalanche, liderzy Konferencji Zachodniej i całej tabeli, są konsekwentni w działaniu i mają już 65 pkt w 38 spotkaniach (29 zwycięstw). Tym razem po raz ósmy z rzędu pokonali Los Angeles Kings 5:2 (1:0, 2:1, 2:1).

Florida – Washington 5:3, Colorado – Los Angeles 5:2, Vegas – Minnesota 5:2, Utah – Nashville 3:4, Anaheim – San Jose 4:5, Carolina – NY Rangers 3:2 i Calgary – Boston 2:1 oba po dogrywkach, Seattle – Vancouver 2:3 po karnych, Ottawa – Columbus 1:4, Winnipeg – Edmonton 1:3. (ws)

Magiczna moc

Jastrzębianie po raz piąty sięgnęli po Puchar Polski i udowodnili, że ich siłą jest team spirit.

Kibice JKH GKS Jastrzębie na niespełna dwie minuty przed końcem rozpoczęli fiestę na trybunach, a po zwycięstwie zespołu nad EB Zagłębiem Sosnowiec 4:1 skandowali nazwisko każdego hokeisty swej drużyny z osobna. To była potyczka pełna emocji i dramaturgii. Przy stanie 1:0 dla Zagłębia w 33 min sędziowie nie uznali gola dla sosnowieckiej ekipy, a w 58 min sytuacja się powtórzyła. Arbitrzy doszukali się błędów ze strony strzelców bramek. Rozgrywczeni fani tej drużyny pod koniec meczu rzucali różne przedmioty na taflę, to jednak nie umniejsza wielkiego sukcesu „bezdomej” drużyny z Jastrzębia, która w tym sezonie zadziwiała wszystkich i nie powiedziała ostatniego słowa.

Oba zespoły wystąpiły w swoich optymalnych składach. Jedynie środkowy napastnik Zagłębia Erka Seppälä nabawił się kontuzji. W tej sytuacji trenerzy musieli dokonać drobnej zmiany w formacjach, ale nie miała ona większego znaczenia. Hokeiści z Sosnowca uchodzili za faworytów, a ponadto mieli zdecydowanie więcej czasu na odnowę biologiczną. Ale jastrzębianie należą do walecznych i nie było odpuszczenia. Zaczęło się od kary Jere-Matiasa Alanena, ale jastrzębianie nie wykorzystali przewagi, a w 5 min Riku Sihvonen uderzył w słupek. Potem inicjatywę przejęli podopieczni Matiasa Lehtonen i solidnie pracowali, by Karolus Karlehto się nie nudził. Gorących spieków pod bramką JKH było sporo, ale na bramkę musieliśmy czekać do 17 min. Joni Piipponen i Miika Roine strzelali z bliskiej odległości, aż końcu „guma” trafiła do Arona Chmielewskiego, a ten nie miał problemu ze skierowaniem jej do pustej bramki.



Uśmiechnięci hokeiści JKH nie byli faworytami turnieju w Krynicy.

Na 1:20 min przed przerwą powstał wielki tumult pod bramką JKH i walczyli wszyscy na lodzie poza bramkarzami. W boksie kar wylądowała czwarta formacja Zagłębia oraz druga JKH. Przewaga sosnowieckiej ekipy nie podlegała dyskusji, bo w strzałach była 12-4 i to wystarczyła za cały komentarz do tej odsłony.

Druga tercja była znacznie lepsza w wykonaniu jastrzębian, bo postawili wszystko na jedną szalę. Byli niezwykle aktywni na całej taflę i nie stronili od gdy ofensywnej w osłabieniu. Gdy na ławie kar przebywał po raz kolejny Urbanowicz, w 25 min Daniels Berzins miał szansę pokonać Niilo Halonena, a potem okazje mieli jeszcze Jakub

Ślusarczyk (dwie), Urbanowicz czy Frederik Forsberg, jednak ich akcje w finalnym momencie były nieskuteczne. Tym razem inicjatywa należała do JKH (9-6 w strzałach). W 33 min Vaino Sirkkiä spod bandy idealnie podał do Sebastiana Brynkusa, który z powietrza posłał krążek do siatki. Akcja-marzenie, ale sędziowie przeprowadzili analizę wideo, bo podczas strzału była ruszona bramka. Ostatecznie gola nie uznali i trener Zagłębia ze zrozumieniem pokiwał głową. Hokeiści JKH podjęli walkę i chwalił im za to, bo widowisko zyskało na jakości. Od mocnego uderzenia rozpoczęli trzecią odsłonę i w 12 sek. Forsberg zdobył wyrównującego gola. A potem szwedzki napastnik odegrał wiodącą rolę przy kolejnym trafieniu Berzinsa, gdy popisał się znakomitą podaniem. W 57:58 min Sirkkiä zdobył

wyrównującego gola, ale sędziowie po długiej analizie nie uznali go. Argumentowali tym, że fiński gracz znalazł się w polu bramkowym i był spalony. W 58:01 min bramkarz Zagłębia opuścił taflę, a Forsberg skierował krążek do pustej bramki, a wkrótce potem ten wyczyn skopiował jego kompan z ataku, Sihvonen. Jeszcze na 4 sek. przed końcem doszło do bijatyki i nie obyło się bez kar meczu.

Tak więc spora niespodzianka stała się faktem. Hokeiści JKH zaprezentowali siłę mentalną w grze o wysoką stawkę, a ponadto mieli w swoich szeregach znakomicie wyposażonych pierwszych ataków. Pozostali zawodnicy również wnieśli się na wyżyny swoich umiejętności. A Zagłębie? Może mówić o sporym pechu, wszak na pewno nie było zespołem gorszym, za to mniej skutecznym.

Włodzimierz Sowiński

■ ECB Zagłębie Sosnowiec – JKH GKS Jastrzębie 1:4 (1:0, 0:0, 0:4)

1:0 – Chmielewski – Piipponen – Roine (16:48), 1:1 – Forsberg – Sihvonen – Bagin (40:12), 1:2 – Berzins – Forsberg (50:39), 1:3 – Forsberg – Berzins (58:22, do pustej), 1:4 – Sihvonen (59:04, do pustej). Sędziowali: Michał Baca i Paweł Kosidło – Mateusz Kucharewicz i Michał Żak. Widzów 2600.

ZAGŁĘBIE: Halonen; Ciura – Sozanski, Wanacki – Naróg (2), Bitas (5+20) – Björkung (4), Krawczyk (2) – Kottlorz (2); Piipponen – Roine – Jokinen, Bernacki – Enlund – Chmielewski, Brynkus – Alanen (4) – Sirkkiä, Gromadzki (2) – Nahunko (5+20) – Sołtys (2). Trener Matias LEHTONEN.

JKH: Karlehto; Bagin – Alho, Onak (2) – Bezuška (2), Hanzel (5+20) – Charvat, Wojciechowski – Adamek; Forsberg – Berzins – Sihvonen, Ślusarczyk (4) – Kielbicki (2) – Urbanowicz (4), Ł. Nalewajka – Stolarski (5+20) – R. Nalewajka (4), O. Laszkiewicz – Moś – Osiadły. Trener Rafał BERNACKI.

Kary: Zagłębie – 67 min (kary meczu dla Nahunki i Bitasa), JKH – 58 min (kary meczu dla Hanzela i Stolarskiego).

SPÓD BANDY

ZASKAKUJĄCY TRANSFER

■ Przed świętami wiele się mówiło o wzmocnieniu GKS-u Tychy i wydawało się, że wybrańcem klubu zostanie napastnik, a tymczasem tyska kadra poszerzyła się o bramkarza, Eriksa Vitolsa, który ma zwiększyć rywalizację na tej pozycji. 24-let-

ni golkeeper (184 cm, 85 kg), rodem z Rygi, były reprezentant Łotwy w juniorskich zespołach, zaczynał w miejscowym Dinamie i zaliczył nawet 6 występów w KHL. Potem grał w fińskich drużynach, zaś ten sezon zaczynał w Bańskiej Bystrzycy, ale zagrał tylko 6 meczów. Jego statystyki nie są imponujące, ale, być może,

słowacki klimat mu nie służył. Tyscy działacze nadal myślą o wzmocnieniu kadry i czekamy na kolejny transfer.

TRZECH PEWNIĄKÓW

■ Zespoły USA, Szwecji i Kanady po trzech meczach eliminacyjnych zapewniły sobie awans do ćwierćfinału młodzieżowych mistrzostw świata

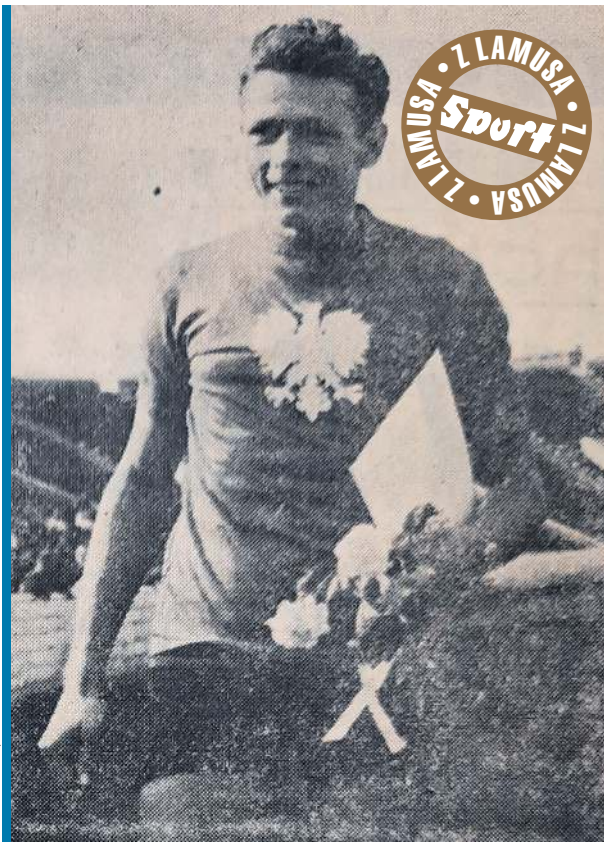
w Minneapolis. Ostatnie dwa dni eliminacji wyłoniły kolejne drużyny, które zagrają w drugiej części turnieju. W grupie A hokeiści USA, obrońcy tytułu, dość nieoczekiwanie natrafili na silny opór Słowaków, ale wygrali 6:5 (0:2, 4:2, 2:1). Natomiast Szwedzi rozgromili Niemców 8:1 (1:1, 4:0, 3:0). Na czele ta-

beli znajdują zespoły Szwecji i USA bez straty punktu. Natomiast w grupie B Kanada nie miała żadnych problemów z Danią, wygrywając 9:1 (3:0, 2:1, 4:0). W drugim spotkaniu Finlandia uległa Czechom 1:2 (0:1, 0:0, 1:0, 0:1) po dogrywce. Liderem jest Kanada 8 pkt, wyprzedzając Finlandię - 7 i Czechy - 5. **[s]**

Jak „Szybki Boguś” Staszka Królaka pokonał

Bogusław Fornalczyk był pierwszym polskim kolarzem, który pokazał młodym ludziom ze wsi i małych miast, że także oni mogą wygrywać wielkie wyścigi.

Urodził się w 1937 roku w leżącym na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej niewielkim Jaworzniku. Na jego talencie poznał się Edward Pelka, który w pobliskim Myszkowie trenował kolarzy. Będąc zawodnikiem tamtejszego LZS-u, Fornalczyk szybko trafił do kadry Polski. Czterokrotnie reprezentował nasz kraj na mistrzostwach świata, wystąpił na igrzyskach olimpijskich w Rzymie (1960), sześciokrotnie startował w Wyścigu Pokoju. Pięciokrotnie zdobywał mistrzostwo Polski – nie tylko na szosie, ale także w przełaju. W 1961 przeniósł się do LZS-u Będzin i w tym zagłębiowskim mieście spędził resztę życia, po zakończeniu kariery pracując w kopalni i szkoląc młodych adeptów kolarstwa. W 2005 roku został honorowym obywatelem Będzina.



Sportowy idol nie tylko wiejskiej młodzieży przełomu lat 50. i 60. XX wieku w koszulce mistrza Polski.

Lider zielonej armady

Fornalczyk osiągnął wiele sukcesów, ale w historii polskiego kolarstwa zapisał się przede wszystkim spektakularnym zwycięstwem w XV Wyścigu Dookoła Polski. Zdarzyło się to w 1958 roku, czyli dokładnie 30 lat po pierwszej edycji. W związku z tymi dwoma jubileuszami organizatorzy postarali się wtedy o wyjątkowo mocną obsadę. Większość zawodników stanowili oczywiście Polacy, na starcie stanęło jednak także wielu świat-

nym kolarzy z Zachodu – Anglików, Austriaków, Francuzów, Holendrów czy Belgów, którzy – jak się później okazało – byli blisko wygranej. O niej marzył także faworyt, pierwszy polski zwycięzca Wyścigu Pokoju (1956) i z tego powodu uwielbiany wówczas w naszym kraju Stanisław Królak. Ten 27-latek, który reprezentował klub Sarmata Warszawa, startował w Tour de Pologne po raz czwarty i będąc w świetnej formie, miał nadzieję,

że teraz w końcu wygra. Tyle że uniemożliwiła mu to „zielona armada”, jak mówiono o zawodnikach Ludowych Zespołów Sportowych, na której czele stanął aktualny mistrz Polski. Tytuł ten niespodziewanie zdobył w sierpniu w stolicy, w sprinterskiej końcówce pokonując... Królaka, a wcześniej triumfował także w górskich mistrzostwach kraju w Jeleniej Górze.

Pierwszy wiejski przodownik

„9 września 1958 roku rozpoczęło się na polskich szosach prawdziwe szaleństwo trzymające w napięciu do końca zawodników, fachowców i miliony kibiców. Przez te blisko dwa tygodnie dramaturgia walki była wręcz nieprawdopodobna” – opisywał Bogdan Tuszyński, który wydarzenia na trasie relacjonował dla słuchaczy Polskiego Radia. Zaczęło się od trzech etapowych zwycięstw Belgów, którymi kierował menadżer Lucien Acou, późniejszy teść kolarza wszech czasów Eddy'ego Merckxa. I kiedy niektórzy obawiali się, że tak już będzie do końca, pierwszą część czwartego odcinka z metą w Bydgoszczy wygrał Fornalczyk. – Przed startem niewiele mogłem powiedzieć o sobie, bo byłem przecież młodym (21 lat – przyp. gak) i niedoświadczonym zawodnikiem – wspominał potem. – Wiedziałem tylko, że jestem so-

lidnie przygotowany i mogę liczyć na jakiś sukces.

Po pierwszym przyszedł kolejny, bo szybki, wytrzymały i sprytny – jak go określano – kolarz LZS-u po siódmym etapie z metą w Opolu został pierwszym wiejskim przodownikiem TdP! – Koszulka lidera, którą założyłem, dawała mi otuchy i odwagi, a także wyzwoliła większą agresywność i wolę walki. Myśl o zwycięstwie zaczęła dojrzywać coraz bardziej – przyznał po latach. Wkrótce przydarzył mu się jednak słabszy dzień i na pagórkowatym odcinku z Bielska do Nowej Huty stracił prowadzenie, ale wciąż liczył się w walce o wygraną w całym wyścigu.

O niej myślał także Królak. – Dysponował on zgraną i doświadczoną grupą swoich kolegów i przyjaciół, którzy w każdej chwili byli w stanie mu pomóc. Szybko zorientowałem się w jego poczynaniach i manewrach taktycznych, musiałem na nie reagować błyskawicznie. Gdzie był on, tam musiałem być i ja. I to natychmiast, bo za chwilę mogło być już za późno. Oczywiście mogłem przy tym liczyć na pomoc kolegów z LZS-u – opisywał Fornalczyk, który zwrócił uwagę na jeszcze jedną niezwykle ważną rzecz. – Po dojeździe uciekinierów byłem gotów do kontynuowania ataku. Niestety, wtedy na sygnał Staszka współpracę się kończyła, bo miał on pretensje, że go kasuje. Ale przecież nie mogłem pozwolić sobie na odpuszczenie takich ucieczek, bo byłoby to równoznaczne z rezygnacją z walki o zwycięstwo. I na tym tle doszło między nami do nieporozumień.

Dłuższa pogawędka z Królakiem

Kluczowy dla losów całej imprezy okazał się dziesiąty, przedostatni etap z Nowej Huty do Radomia, który liczył aż 208 km. Królak od startu próbował odjechać z peletonu, ale udało mu się to dopiero za... piątym razem. Oczywiście w pogoń za nim ruszył Fornalczyk. – Po dojeździe uciekających na nowo zaczęło się to samo i niemal stanęliśmy. Dobrze jednak, że mieliśmy sporą przewagę nad dużą grupą, bo był czas na... dłuższą pogawędkę. Po dyskusji Staszka ze swoim trenerem klubowym oraz zdecydowanej rozmowie między nami doszliśmy do porozumienia i zaczęliśmy wspólnie

jechać. Jechaliśmy rzeczywiście wspaniale i nasza przewaga rosła w oczach. W takim układzie ponownie wychodziłem na pozycję lidera i nadzieja zwycięstwa znów we mnie ożyła. Pracowałem jak wół, bo wiedziałem, że każda sekunda przewagi może okazać się niezwykle cenna – relacjonował. Etap wygrał Królak, a Fornalczyk – choć pech dopadł go na ulicach Radomia, bo miał defekt i przyjechał ponad pół minuty za zwycięzcą – objął prowadzenie w klasyfikacji generalnej.

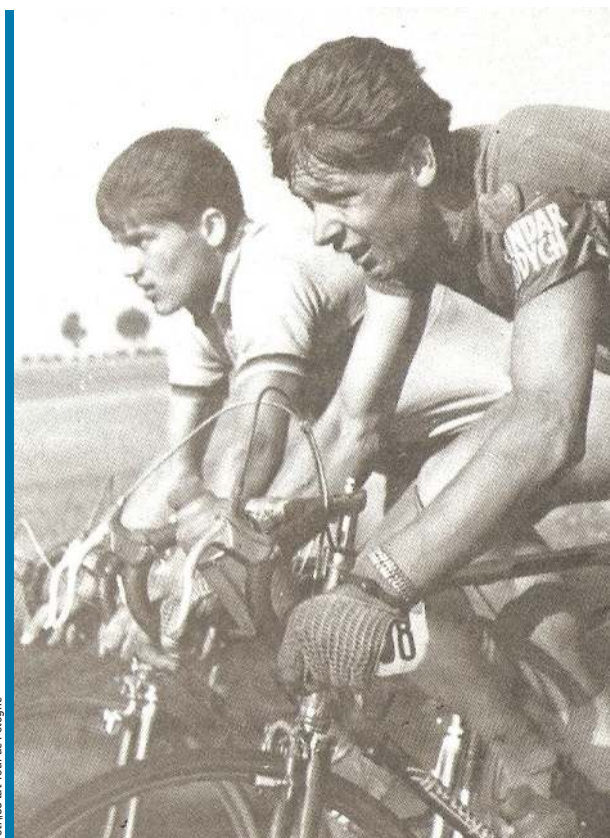
Następnego dnia kolarzy czekał ostatni krótki etap z metą w Warszawie. Mimo to wychowanek LZS-u Myszków nie czuł się jeszcze zwycięzcą. – Przede wszystkim nie byłem pewny, czy Staszek jeszcze raz nie zaatakuje. Poza tym wiele mogło się jeszcze zdarzyć – defekt, kraksa, większa niedyspozycja... Jechałem więc czujnie i dopiero po przejechaniu linii mety powiedziałem sobie: wygrałem Wyścig Dookoła Polski. Stało się to, o czym nawet nie marzyłem. Byłem szczęśliwy i nie czułem żadnego zmęczenia – wspominał Fornalczyk, któremu w stolicy gratulował sam Feliks Więcek, zwycięzca pierwszego Biegu Dookoła Polski. „Królak współtwórca sukcesu Fornalczyka” – tak podsumował wyniki

rywalizacji reporter „Sportu”. Drugi w klasyfikacji końcowej Belg Constant Goossens stracił do Polaka blisko dwie i pół minuty. Królak ostatecznie zajął piąte miejsce. Najpopularniejszy kolarz tamtego okresu, który swoją sławę zawdzięczał także opowieści, że utrudniającego mu jazdę Rosjanina pobił pompką, dwa lata później ostatni raz próbował wygrać Tour de Pologne. Także tym razem nawet nie udało mu się stanąć na podium, za to Fornalczyk zrobił to jeszcze raz – w 1961 roku, kiedy był drugi.

Bogusław Fornalczyk, symbol wiejskiego i małomiasteczkowego kolarstwa lat 50. i 60. XX wieku, odszedł 1 października tego roku w wieku 88 lat. „Dla nas zawsze pozostanie „Szybkim Bogusiem” – człowiekiem skromnym, serdecznym i pełnym pasji, a jego osiągnięcia i duch sportowej rywalizacji będą trwałą inspiracją dla kolejnych pokoleń” – napisali o nim przyjaciele z Towarzystwa Przyjaciół Będzina, którego był honorowym członkiem.

Grzegorz Kaczmarzyk

■ Pisząc ten tekst, korzystałem z książki „50 razy Tour de Pologne” Bogdana Tuszyńskiego



Rewelacja sezonu (na pierwszym planie) w drodze po zwycięstwo.



Przewidywania naszego dziennika sprawdziły się, Bogusław Fornalczyk wygrał największy polski wyścig.

2. konkurs 74. TCS
- Garmisch
-Partenkirchen (Niemcy)
Środa, 31 grudnia
11.00 - oficjalny trening
16.00 - kwalifikacje
Czwartek, 1 stycznia
12.30 - seria próbna
14.00 - pierwsza seria konkursowa

3. konkurs - Innsbruck
(Austria)
Sobota, 3 stycznia
11.45 - oficjalny trening
14.30 - kwalifikacje

Niedziela, 4 stycznia
12.00 - seria próbna
13.30 - pierwsza seria konkursowa

4. konkurs
- Bischofshofen (Austria)
Poniedziałek, 5 stycznia
14.00 - oficjalny trening
16.30 - kwalifikacje
Wtorek, 6 stycznia
15.00 - seria próbna
16.30 - pierwsza seria konkursowa

Żałosna strona Norwegów

Anders Jacobsen, zwycięzca Turnieju Czterech Skoczni w sezonie 2006/07, a obecnie ekspert telewizyjny, ocenił, że po pierwszym konkursie w Oberstdorfie dla norweskich skoczków, którzy zajęli dalekie miejsca, impreza już się zakończyła. - Słoweńcy, Austriacy i Niemcy, którzy zajęli podium, mogą się cieszyć, ponieważ na to zasłużyli, lecz dla nas, z takimi stratami punktowymi, impreza już po pierwszym konkursie jest praktycznie zamiatana. Tak źle w historii naszych skoków dawno nie było - powiedział były zawodnik dziennikowi „Dagbladet”.

Jego zdaniem, zwycięzca pierwszego konkursu Słoweniec Domen Prevc z przewagą 17, 5 pkt nad Austriakiem Danielem Tschofenigiem, jest już nie do dogonienia. Sam Jacobsen w 2007 roku po konkursie w Oberstdorfie miał stratę 16,4 pkt, lecz ją odrobił i wygrał w klasyfikacji generalnej.

Najlepszy z Norwegów Kristoffer Eriksen Sundal zajął 10. miejsce i traci do Prevca 31,1 pkt. Halvor Egner Granerud był 20., Johann Andre Forfang 21., Marius Lindvik 23., Robin Pedersen 29., a Isak Andreas Langmo 40.

- Przykro przyznać, ale nasi skoczkowie zdominowali dopiero drugą dziesiątkę, prezentując się z wręcz żałosnej strony. Taka jest bolesna prawda - dodał Jacobsen.

Zbigniew Kuczyński (PAP)

Trener myśli, że będzie lepiej...

Z Oberstdorfu skoczkowie przenieśli się do Garmisch-Partenkirchen, gdzie dziś odbędą się kwalifikacje przed noworocznym konkursem.

Wponiedziałek w Oberstdorfie mieliśmy show w wykonaniu Słowenca Domena Prevca, który z dużą przewagą wygrał pierwszy konkurs 74. Turnieju Czterech Skoczni. Obok niego na podium stanęli Austriak Daniel Tschofenig i Niemiec Felix Hoffmann.

Sznurówki - domena Domena

Prevc, lider Pucharu Świata, jest teraz oczywiście wielkim faworytem do zwycięstwa. Podkreślają to Austriacy, którzy są pod ogromnym wrażeniem jego skoków. Wyrzucił to wprost Stefan Kraft. - Domena nie da się pokonać, nie da się powstrzymać. Będziemy potrzebować cudu, żeby to się stało - stwierdził.

Podobnego zdania jest triumfator poprzedniej edycji TCS, Daniel Tschofenig. - 17,5 punktu to ogromna różnica. Będzie niezwykle trudno zniwelować tę przewagę. To trochę niewiarygodne... - przyznał.

Sam Prevc w rozmowie z reporterem Eurosportu, tak ocenił swój występ w Oberstdorfie: - Jestem niesamowicie szczęśliwy. Było zaskakująco łatwo, ale musiałem być skupiony i ukierunkować myśli we właściwą stronę. Te wszystkie drobne momenty pozwalały mi być uśmiechniętym i zrelaksowanym. Jestem przeszczęśliwy, że



Kacper Tomasiak, choć najmłodszy w polskiej ekipie, stał się jej liderem.

potrafiłem przekuć tę pozytywną energię w dobry rezultat.

Tymczasem „Bild” - powołując się m.in. na analizę Martina Schmitta - tajemniczo sukcesów Słowenca doszukiwał się w jego... niezwiązanych butach. Według niemieckiego tabloidu, ma to zapewniać liderowi PŚ „większy luz w pięcie”, pozwalający na

lepszą kontrolę nart oraz telemarku.

Od beniaminka do wyjadacza

Dla polskich skoczków inauguracja 74. TCS miała słodko-gorzki smak. Z niezłych występów cieszyli się debiutant Kacper Tomasiak, który był 14., oraz Kamil Stoch, sklasyfikowany na 17. miejscu. Pozostali

zawiedli. Co prawda Paweł Wąsek awansował do rundy finałowej, ale zajął w niej przedostatnie miejsce. Maciej Kot i Piotr Żyła zakończyli rywalizację po pierwszym skoku.

Kacper Tomasiak, choć był najlepszy z Polaków, rzeczowo ocenił swoje skoki. - Były zdecydowanie lepsze niż w niedzielę w kwalifikacjach. W nich nie wszystko zagrało, ale ponownie zacząłem czuć radość. Jeśli skok jest dobry, to obojętnie, czy wygra się w parze, bo można też awansować jako szczęśliwy przegrany, więc aż tak bardzo się nie przejmowałem. Najważniejsze było skupienie się na własnym skoku, a nie na rywalu - powiedział 18-latek, który pierwszy raz miał okazję brać udział w obowiązującym w TCS systemie KO.

Nasz trzykrotny mistrz olimpijski nie ukrywał zadowolenia po swoim występie na Schattenbergschanze. - Dwa razy przekroczyłem 130 metrów w tak ważnych zawodach. To powód do zadowolenia, choć nie mam jeszcze pewności, która towarzyszyła mi, gdy byłem w lepszej formie. Teraz bardziej skaczę na zasadzie: to jest dobre, tego się trzymaj, nic ponad to - powiedział Kamil Stoch, który oddał fatalny skok (102 m) w serii próbnej i był w niej najgorszy z Polaków. - To był wypadek przy pracy. Wiedzia-

łem, że jak zrobię swoje, to będzie dobrze - tak go skomentował.

Teraz łatwiej?

Trener Maciej Maciusiak stwierdził, że skocznia w Oberstdorfie nie należy do ulubionych obiektów Polaków, ale podkreślił dobrą postawę Tomasiaka i Stocha. - Szczególnie Kacper pokazał dobre skoki, choć pierwszy raz wystąpił w Oberstdorfie. Początkowo nie mógł wyczuć rozbiegu tej skoczni, jednak pokazał dwie dobre próby, szczególnie w pierwszej serii, gdy były trudne warunki. Cieszy również występ Kamila. Nie miał szczęścia do warunków. Powrócił do trudniejszego okresu - ocenił trener naszej reprezentacji.

Nawiązał też do słabszych wyników pozostałej trójki swoich podopiecznych. - W Oberstdorfie często nam nie szło, choćby w zeszłym sezonie, a tym razem mieliśmy trzech zawodników w drugiej serii. Paweł wciąż szuka odpowiedniego czucia. Teraz jedziemy do Garmisch-Partenkirchen i myślę, że będzie tam trochę łatwiej - dodał Maciusiak.

Czy rzeczywiście będzie łatwiej i lepiej? W poprzedniej edycji TCS w Ga-Pa najlepszy z Polaków Wąsek zajął 16. miejsce, Żyła był 29., Dawid Kubacki 45., a Jakub Wolny 46. Konkurs wygrał Daniel Tschofenig.

[awa]



Annie Twardosz w Ga-Pa zabrakło długości, by zakwalifikować się do konkursu...

REMANENT

Remanent osobisty

Jerzy Chromik



Dobrze jest mieć gotowy tytuł felietonu. Uważam, że dobry nie powinien zawierać więcej niż dwa wyrazy. A jeden to ideał. Jeśli taki mieści wszystko i ma wielorakie skojarzenia, to powinien być zastrzeżony w Urzędzie Patentowym, a najlepiej jeszcze w ZAiKS-ie oraz Głównym Urzędzie Miar. W Warszawie ten ostatni jest przy Elektoralnej 2! Gdy wydawałem tom 1 moich „dzieł zebranych”, nie miałem żadnych wątpliwości. W grę wchodził tylko jeden tytuł. REMANENT! Wysyłany jako dziecko po przyziemne nawet zakupy odbijałem się często od zamkniętych drzwi sklepów z wywieszką: „Przepraszamy, REMANENT. Przewidziane otwarcie 2 stycznia”. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że przez 40 lat „robienia w słowie”

napisałem tyle tekstów, że zajmą one aż sześć tomów, a teraz widać nawet gołym okiem, że może ich być przynajmniej osiem. Tego Remanentu to ja byłem pewien! Jak Urbana. Każdy powinien raz w roku zrobić sobie spis z natury. A propos tej NATURY. Nie wierzę w świat yeti, ale chętnie powtarzam opowiedzianą mi kiedyś scenę z ich życia. Na wzgórzach z widokiem na cmentarz siedział ojciec z synem Yetikiem. Milczeli długo, patrząc refleksyjnie na znicze palące się na grobach, i dopiero po kwadransie senior odezwał się tubalnym głosem do potomka: – Pamiętaj, mały, że człowiek z gruntu jest zły! Cisza wokół cmentarza stała się wówczas jeszcze bardziej nieznośna, bo... to chyba prawda. Niewiele

jest w nas dobra, a jeśli jest, to na poziomie minus pięćset i niełatwo temu dobru przebić się na powierzchnię. I nie dlatego, że windy są akurat zepsute. Jaki był ten rok w moim życiu, a można nawet zaryzykować – w tym moim wciąż sportowym życiu? Niezły. Bo życiowa mądrość podpowiada nam nieustannie, że zawsze może być lepiej, ale też zawsze może być gorzej. Biermy zatem to, co jest, z dobrodziejstwem inwentarza, a inaczej rzecz ujmując – z dobrodziejstwem remanentu. Ci, co skaczą i fruują, na swój konkurs zapraszają? Turniej Czterech Skoczni to zapewne, jak w poprzednich latach, będą konkursy czterech smutków. Kubacki odsunięty, Zniszczoł odsunięty, a na przyuczeniu do zawodu jest dopiero Tomasiak. Mamy zimę

kalendarzową, więc tylko dlatego zacząłem od skoków i dyscyplin zimowych, bo za progiem skoczni igrzyska. Wyśmienicie idzie nam ciągle na żużlu. Do Bartka jest mi blisko, jak do kogoś z rodziny, bo Zmarzlik brzmi prawie jak Chromik. A w młodości skakałem i biegałem wyłącznie po bieźni żużlowej, więc tę nawierzchnię moje kolana znają jak żadną inną. Pamiętam także z dzieciństwa, że w Toto-Lotku każda z 49 liczb miała przypisaną dyscyplinę sportową, a ostatnią był właśnie żużel. Zawsze więc będzie swojski i żaden tartan tego nie zmieni. Powinno być coś o futbolu, bo wiadomo, że ten rozpala tłumy! No to może coś o... Nie, nie, o PZPN ani słowa. Kusi mnie pirotechnika! Jest coraz droższa, ale gdy nie ma

kolejek ligowych, to można zaoszczędzić na fajerwerki sylwestrowe. Wiadomo, że zwierzęta tego nie lubią, więc Norwegowie zakazali strzelania poza określonym przedziałem godzin ostatniego dnia roku. Za niezastosowanie się grozi grzywna, w przeliczeniu z koron od 1500 do 3000 złotych. A nawet trzy miesiące odsiadki. Ale kto Polakowi zabroni? Nie ma co oglądać na trawie i po trawie, to trzeba inaczej rozpalic wyobraźnię. – Ogień, ogień się jeszcze tli... – śpiewała niezapomniana Mira Kubasińska z zespołem Breakout. Zanim dotknie nas ogólnopolski blackout, bo nasze elektrownie mogą nie wytrzymać świątecznego poboru prądu, szybko podłączam laptop do gniazda elektrycznego, by napisać ostatnie zdanie w 2025: – Do siego roku!

POLSKA GUROM, czyli na tropie Pudziana

Mistrz świata Luke Littler już może zacząć się obawiać - w Nowy Rok w walce o półfinał czempionatu globu zmierzy się z rozpędzonym Krzysztofem Ratajskim!

MISTRZOSTWA ŚWIATA W DARTA

Krzysztof Ratajski nie zatrzymuje się. Podczas trwających mistrzostw świata w darta Polak dostarcza mnóstwo emocji widzom. Zademonstrował to w 1/16 finału, gdy w fantastycznym stylu pokonał Wesleya Plaisiera. Był o krok od porażki z Holendrem, przegrywał 1:3, a ostatecznie wygrał 4:3. Pokazał, że jest silny psychicznie, że jest w stanie sprawić niespodziankę i zająć jeszcze dalej. Dlatego gdy w drabince Ratajski trafił na Luke'a Woodhouse'a, kibice naszego reprezentanta mogli poczuć, że szansa na dostanie się do ćwierćfinału jest duża.

Anglik do tej pory nie miał okazji zmierzyć się z silnymi rywalami w mistrzostwach i Polak miał być jego pierwszą poważną przeszkodą na drodze do sukcesu. Wcześniej ani przez moment nie czuł, że zwycięstwo w danym spotkaniu jest zagrożone. Polak pokazał mu jednak, że nie jest niezniszczalny. Woodhouse był dla Ratajskiego tylko kolejną przeszkodą do przeskoczenia. 47-latek rzucał lotkami pewnie, utrzymywał stabil-



Łagodnie uśmiechnięty Krzysztof Ratajski stawia kolejne kroki na drodze do sukcesu.

ny poziom. Z kolei forma Anglika była sinusoidalna. W jednym legu prezentował się fenomenalnie, żeby w kolejnym kompletnie zawieść. Dzięki stabilności Polski Orzeł awansował do ćwierćfinału.

Wszystko jest możliwe

Tym samym Ratajski wyrównał swoje największe osiągnięcie podczas najważniejszego turnieju w dartowym kalendarzu. W 2021 roku sprawił, że tysiące Polaków siedziało przed telewizorami w Nowy Rok. Mierzył się ze Stephenem Buntingiem i po wyrównanej batalii przegrał 3:5. Teraz po raz drugi w karierze zagra w ćwierć-

finale mistrzostw świata, a jego przeciwnikiem będzie najlepszy zawodnik na świecie, Luke Littler. 18-latek to geniusz darta, który już dwa lata temu wystąpił w finale mistrzostw. Rok temu wygrał zmagania, a teraz ma zamiar obronić tytuł. Jest w znakomitej formie i do tej pory żaden z rywali nie miał z nim większych szans. Ratajski stanie więc przed bardzo trudnym zadaniem. – To największe wyzwanie, jakie można sobie wyobrazić. To oczywiste – to najlepszy zawodnik, mistrz świata. To jednak jest sport – w darcie wszystkie jest możliwe – powiedział Polak po zakończonym starciu z Wo-

odhousem, gdy otrzymał pytanie o najbliższe starcie z Littlerem.

1826 dni czekania

Pokonanie mistrza będzie sprawdzianem dla doświadczonego Polaka. Widać jednak po nim, że jest w odpowiedniej dyspozycji, żeby spróbować powalczyć z fantastycznym nastolatkiem z Anglii, który jest postrachem całego świata darta. Ratajski nie ukrywa, że towarzyszą mu ogromne emocje związane z turniejem. – To dla mnie coś wielkiego. Towarzyszą mi wielkie emocje. Każdy mecz podczas mistrzostw świata jest czymś ogromnym i jestem bardzo pod-

ekscytowany – stwierdził Ratajski, który na powrót do ćwierćfinału mistrzostw świata musiał czekać 1826 dni. – Złe chwile pozostawiam daleko za sobą. Nie myślę już o przyszłości. Patrzę tylko przed siebie i na najbliższy pojedynek – przekazał Polak.

Zabawy ortograficzne

Choć Littler – podobnie zresztą jak Woodhouse wczoraj – będzie mógł liczyć na wsparcie z trybun, bo turniej odbywa się w jego ojczyźnie, w Alexandra Palace w Londynie także Ratajski ma swoich fanów. Podczas wczorajszej rywalizacji realizator uchwycił jednego z fanów, który

1/8 FINAŁU

Luke Woodhouse
- Krzysztof Ratajski 2:4

1/4 FINAŁU

(czwartek, 1 stycznia)
Luke Littler
- Krzysztof Ratajski

trzymał baner z napisem „POLSKA GUROM”. to hasło znane w internecie, które specjalnie pisane jest z błędem ortograficznym w momentach, gdy Polacy odnoszą sukcesy niezależnie od dziedziny; hasło narodziło się dzięki Mariuszowi Pudzianowskiemu, który po każdym zwycięstwie w zmaganiach strongman krzychał „Polska górą!”.

Prezent urodzinowy

Mecz Ratajskiego z Littlerem odbędzie się 1 stycznia, w dniu 48. urodzin Polaka. Może on sobie sprawić najpiękniejszy prezent. Samo zwycięstwo z mistrzem świata byłoby czymś wyjątkowym, ale za wygraną idzie też pokaźna nagroda pieniężna. Jeśli Ratajski dotrze do półfinału, zgarnie 200 tysięcy funtów. W ramach turniejów PDC Ratajski w ciągu ostatnich dwóch lat zdobył nieco ponad 247 tysięcy funtów, więc nagroda jest ogromna. Światowy ranking jest budowany na podstawie pieniężnych wygranych, więc w przypadku wygranej z Littlerem Ratajski awansuje do TOP 20. Mistrzostwa zaczynał na 37. miejscu, w tej chwili jest 28. w rankingu aktualizowanym na żywo.

Kacper Janoszka